ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

No 26

WARSZAWA
DNIA 29 CZERWCA 1913 R.

Paryski Salon Wiosenny.

(Korespondencja własna „Złotego Rogu").

Ktokolwiek poraz pierwszy przekroczy progi wielkiego pałacu sztuk pięknych na Polach Elizejskich; ktokolwiek ujrzy po raz pierwszy ową olbrzymią halę, w której na zielonem tle palm i kwiatów egzotycznych, ustawiono lśniące swą białością i przerażające swą monumentalnością marmury i gipsy; kto przy akompanjamencie cichej, smętnej muzyki; stojąc na galerji pierwszego piętra wodzi błędnym wzrokiem po tonącej w zieleni hali rzeźb — tego dziwne ogarnie uczucie, uczucie nieznane, po raz pierwszy doznane w życiu... Pogrąży się w pobożnej kontemplacyi, modlić się będzie w ciszy,.. szeptać będzie słowa niemego zachwytu... uklęknie niejako przed bogiem-genjuszem... owieje go tchnienie — *Świątyni Sztuki...*

Przepotężne, niezatarte, imponujące wrażenie czyni paryski Salon Sztuk Pięknych! Ogromem swym, malowniczością, mnogością barw i kształtów przytłacza nietylko nowicjusza, który poraz pierwszy jego progi przestąpi, ale i tych, którzy przez przyzwyczajenie lub obowiązek zmuszeni są kilkanaście razy do roku sale jego zmierzyć wzdłuż i wszerz, wszerz i wzdłuż. Nawet Luwr nie robi tak imponującego wrażenia na pierwszy rzut oka... Warto przyjechać do Paryża choćby dla obejrzenia samego Salonu. Jedna w nim wizyta dostarczy wrażliwej duszy całej gamy uczuć i rozkoszy.

Inna wszakże sprawa, gdy progi Salonu przestępuje Jego Królewska Wysokość—Krytyk. Sztywny, wyrozumiały, przebiegnie w kilku kwadransach *czterdzieści trzy* sale wzrokiem, mówiącym: *guarda e passa* obrzuci 90 proc. wystawionych rzeczy, łaskawe zaś swe oko zatrzyma nad Mocot'ami, Cormonami, Bonnatami, Baschetami, Rochegrone'ami i nad kilkoma jeszcze posiadaczami nietyle talentu, ile „wstążki" (legii honorowej).

Okrutny realizm życiowy, okrutna matematyka, a nawet ordynarna arytmetyka, wkradły się w dziedzinę sztuki.

„Rokrocznie piętnaście tysięcy nowych obrazów, pięć tysięcy rzeźb, dziesięć tysięcy innych przedmiotów sztuki — produkuje sama Francja" — skarży się pewien Zoil. Lecz oprócz kilku salonów „Narodowych" ma wszakże Paryż i Salony „Niezależnych" i Salony „Humorystów", i Salony „Kubistów i Futurystów", i obecnie ma powstać jeszcze jedna kategorja Salonu; „Nieprzyjętych"... Tutaj będą ci wszyscy, których nieprzyjęto we wszystkich innych Salonach. Ale czy się zmieszczą?

* * *

We wszystkich prawie Salonach paryskich — że użyję wyrazu technicznego—„wystawiają" Polacy. Tak samo, jak w grze naszych artystów dramatu przejawia się w pierwszym rzędzie *szczerość*, sumienność, uczciwość w ekspresji i interpretacji, tak samo i w tworach naszej sztuki plastycznej te same dominują cechy. Jeśli więc Polacy cieszą się zaszczytnem wyróżnieniem w legjonach „wystawców", to nie dzięki niepotyzmowi lub rulonom ludwików, lecz dzięki jedynie ciężkiej pracy, poważnej, sumiennej, świadomej swych celów i znaczenia, dokonywanej w artystycznej intuicyi i napięciu. Nie rutyna i nie idea, którąby łatwego znalazła

nabywcę, biją z naszych obrazów i rzeźb, ale talent, talent prawdziwy. Wszystko, co wychodzi z pod dłuta i pędzla polskiego jest wyczute, przemyślane i powiem nawet *przecierpiane* w duszy artysty. Mniejsza, że strona techniczna lub pomysłowa nie znajduje się czasem na tym samym poziomie, co u Francuzów, wyszkolonych w *rzemiośle* artystycznem, a raczej malarsko-rzeźbiarskiem; rzecz główna, że w utworze polskim uderza talent, miłość dla sztuki, rzetelny wysiłek artystyczny.



Apolinary Głowiński. „Autoportret".

Sprawozdanie niniejsze dotyczy dwóch Salonów: Societé Nationale des Beaux Arts i Societé des Artistes Français. Około 40 Polaków wzięło udział w tych wystawach. Reprezentują wszystkie gałęzie sztuki: malarstwo, rzeźbę, architekturę, grafikę, sztukę stosowaną.

W Societé des Beaux Arts mamy około 20 Polaków. Na pierwszem miejscu oczywiście postawić należy p. Olgę Boznańską, która w tym roku wystawiła aż sześć obrazów. Zasługuje na wyróżnienie portret Sienkiewicza, portret młodej kobiety i „Bukiet róż". Pani Melanja Mutermilchowa dała nam prześliczny pejzaż „Deszcz" tudzież dwa portrety, Bolesław Biegas wystawił ciekawą kompozycję z bronzu, zatytułowaną „Titanic", i biust gipsowy. Wittig i tym razem zyskał sobie gorący aplauz... Dwa jego marmury („Pax. i biust hrabiny J.") świadczą, że mamy do czynienia z artystą doskonałym w całem znaczeniu tego wyrazu. P. Wacława Kiślańska wystawiła w tym roku po raz pierwszy („Młody Słowianin"). Studjum jej dowodzi, że w artystce kryje się talent potężny, który ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Panna Urszula Buchholtzówna wyrzeźbiła nam „Głowę", o której bez przesady rzec można, że mało podobnych „głów" dał nam Salon obecny, mało podobnych pod względem skończonego w szczegółach i w całości artyzmu. „Szkic dekoracyjny" p. Heleny Kwiatkowskiej udał się w zupełności, tak samo, jak i studjum p. Marji Opolskiej ze Lwowa. P. Stanisław Ostrowski dał dobrze wykonany portret p. Olgi Boznańskiej, p. Jadwiga Romanowska wystawiła „kobietę udrapowaną", rzecz wiele dobrego wróżącą artystce. „Madonna mego kraju" p. Plewińskiej, trójca śpiewaków młodego Tadeusza Styki, syna znakomitego artysty, „Dziewczyna przy spowiedzi" Władysławy Stanisławskiej, „Portret" p. Tkaczewskiego, medaljon bronzowy hr. Abbazzi-Kwiatkowskiej, tudzież świetny portret Emila Bourdell'a, wykonany w bronzie przez p. Janinę Broniewską. wszystko to są rzeczy, acz nie będące jeszcze ostatnim wyrazem perfekcji artystycznej, niemniej przecie zasługujące na rzetelną pochwałę. Grafika ma godnego reprezentanta w osobie galicjanina, p. Władysława Skoczylasa, a już wprost brak słów wdzięczności dla p. Zdzisława Kalinowskiego, za jego cztery szkice architektoniczne. Tego rodzaju prace były zawsze lekceważone; oby jaknajwięcej znalazło się ich w roku przyszłym na paryskim rynku... sztuki. Sukces jaki tym razem osiągnął p. Kalinowski powinien go do tego zachęcić.

Plon drugiego Salonu wiosennego (Societé des Artistes Français) jest jeszcze bogatszy. Wierusz-Kowalski i Stanisław Lenc mogą śmiało być dumni. „Orka" pierwszego, jak i jego „Wilki" zeszłoroczne mogą słusznie być zaliczone do arcydzieł. Gdym wpatrywał się w „Orkę" miałem przed sobą żywy, że tak powiem, łan ziemi polskiej, smęt-

ny, ponury, tragiczny. Obraz Lenca, przedstawiający pięć pozostałych przy życiu profesorów Szkoły Głównej, posiada wszystkie znamiona pędzla tego znakomitego artysty. A chociaż, z powodu późnego nadesłania go, został źle zawieszony, na dekoracyjnej kolubrynie, miejscu mało widocznem, to przecież odrazu przykuje do siebie wzrok tych wszystkich, którzy obraz dostrzegą. Nagrodę w tym roku uzyskała Blanka Mercerówna. Wystawiła akt kobiety naturalnej wielkości. Rzecz doskonała, prześliczna, mogąca śmiało konkurować z pierwszorzędnymi mistrzami nagości. Naga kobieta p. Mercerówny posiada coś specyficznego, coś tak charakterystycznego w wyrazie i wykonaniu, że to nie mogło ujść uwagi sędziów. P. Mercerówna ma wszelkie dane na artystkę wielkiej miary, której wszystko w życiu zdaje się uśmiechać.

Po raz pierwszy wystawił w roku obecnym p. Michał Fürstenberg, na którego znowu wszystko zawzięło się, aby bujne swoje skrzydła nie mógł rozwinąć do lotu. Artysta niezwykle subtelny, wiele cierpiący, wrażliwy, pracujący w ciężkich warunkach życiowych, wystawił gips, zatytułowany „Nimfa u źródła". Zarówno kompozycja, jak i wykonanie, nietylko nie pozostawiają nic do życzenia, ale są nawet dowodem osiągnięcia przez artystę pewnej perfekcji technicznej.

Do tych ostatnich należy również p. Apolinary Głowiński, który wystawił głowę dobrą, choć własną, pochlebnie świadczącą o technice rzeźbiarskiej swego autora. P. Budzewicz dał nam portret p. B. tudzież biust gipsowy; p. Prószyński „Zimę"; panie Obalska i Gałęzowska (głowa dziewczyny w minjaturze pierwszej i dwa pastele (tej ostatniej) wkładają w swoje prace całą szczerość i subtelność kobiecego charakteru; dwa biusty bronzowe p. Kazimiery Małaczyńskiej uderzają żywością wyrazu i doskonałą techniką; zasługują na zaszczytne wyróżnienie medaljony p. Grabowskiej i Medwedzkiego, prace p.p. Wysockiego i Jankowskiego, studja p. baronowej Purzetowej, która robi doskonałe postępy w technice. Prawie jedynym przedstawicielem sztuki stosowanej jest lwowianin, p. Szarwarski, który dał nam rzeczy dla nas, Polaków, piękne i drogie, a dla Francuzów nieznane i ciekawe.

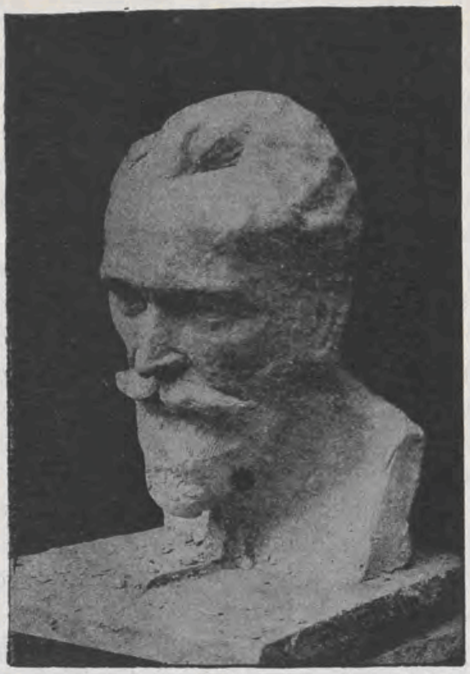
Taki jest plon polski dwuch obecnych Salonów wiosennych, plon bogaty, dobrze świadczący o polskich artystach i polskiej sztuce plastycznej. Znajdując dla każdego z „wystawców" słówko pochlebne, epitet, który ma być dla nich pociechą, lub zastąpić nagrodę za mozolny trud, często w pocie czoła, w mękach dokonywany, nie należy powstrzymać się od uwagi, ciskającej się pod pióro. Oto wprost przeraża ów kolektywny brak idei, pomysłowości. „Portret", „pastel", „biust", „szkic", studjum", „głowa", „akt", jedynie to można spotkać w Salonach. Brak absolutny motywów swojskich, choćby nawet pejzaży z kraju. Jedynie Wierusz-Kowalski dał nam w roku obecnym „Orkę", która tak wszystkich rodaków wzruszyła. Oby znalazł on jaknajwięcej naśladowców.

Dając sprawozdanie z dwuch wystaw oficjalnych, nie mam prawa pominąć wystawy własnej młodego rysownika-architekta, p. Aleksandra Wag-Wasercuga.

W swem *atelier* na bulwarze Montparnasse (№ 132) wystawił p. Al. Was. kilkadziesiąt swoich rysunków, które zyskały sobie jednogłośną aprobatę. Przedmowę do katalogu napisał znany krytyk francuski, współpracownik *Journala*, p. André Salmon. P. Was. wziął niedawno pierwszą nagrodę na konkursie na winietę dla magazynu p.



Apolinary Głowiński. **„Pycha".**



Wacława Kiślańska „Głowa mężczyzny".

Golińskiej; obecnie znowu zbiera pochwały za wystawione swe prace. Człowiek obdarzony niezwykłym talentem, a zwłaszcza tem, co głównie cechuje artystę, *umiejętnością patrzenia*, architekt, który ukończył Paryską szkołę sztuk pięknych ze złotym medalem, były dekorator w teatrze „Odéon", artysta bezsprzecznie zdolny i niepozbawiony pewnej kultury umysłowej, powinien byłby być p. Was. istotą, zdawałoby się, najszczęśliwszą na świecie. Tymczasem sprawa ma się wręcz przeciwnie. Jeśli tak jest, to stanowczo nie bez jego winy, której nie należy kłaść na karb wyłącznie „nerwowości". Ale wszyscy artyści są dziećmi, któremi kierować, opiekować się potrzeba. Pozostawiony własnym siłom, tuła się p. Was. po bulwarach paryskich, po knajpach bulwarowych, z ołówkiem w kieszeni, z kajetem rysunkowym pod pachą, z kapeluszem na bakier, z papierosem w ustach, powiększając kadry paryskiej *bohême*, ale wyróżniając się swą rzetelną intuicją artystyczną. Gdyby podobny talent obramować w łożysko, wskazać mu drogę i dać mu możność pracy konsekwentnej i planowej, to kto wie do jakich talent taki doszedłby wyników. Przykład tu poruszony nie jest sporadyczny, lecz właśnie perjodyczny, permenentny, stale istniejący. Ci wszyscy, którzy stykają się z młodymi adeptami „sztuki" wiedzą doskole, że nic łatwiejszego, jak... zmarnować talent i to na zawsze. Dlatego też uwagi powyższe kreślę nietylko poto, by je przeczytano, lecz i poto, by je zapamiętano.

S. Auerbach.

Apostoł Optymizmu.

Sir John Lubbock.

W bieżącym miesiącu w Londynie rozstał się ze światem człowiek, który miłość życia podniósł do godności zasady przewodniej. Stała się ona podstawą i punktem wyjścia jego poglądu na świat, rozwijał ją, doskonalił, pogłębiał i gorliwie apostołował wśród setek tysięcy swych czytelników.

Był to dostojny i uczony starzec, Lord Ewebury, bardziej znany pod dawniejszem nazwiskiem baroneta, jako sir John Lubbock, gdyż zanim otrzymał tytuł lorda, szeroką zdobył sławę uczonego przyrodnika i etnografa.

W przyrodzie interesowało go specjalnie życie owadów, ich pochodzenie, inteligencja i owe cudowne ustroje państwowe, zdające się być pierwowzorem społeczeństw ludzkich. Jego prace w tej dziedzinie: „Mrówki, pszczoły i osy", „O pochodzeniu inteligencji zwierząt"—zdobyły



Aleksander Wag-Wasercug. „Autoportret".

mu trwałe uznanie w świecie naukowym. Niemniej cenione są jego studja nad początkiem cywilizacji i człowiekiem pierwotnym: „Czasy przedhistoryczne, jak pokazują nam je wykopaliska, oraz zwyczaje i obyczaje teraźniejszych dzikich" i „Początek cywilizacji i stan obecny człowieka". To ostatnie dwutomowe dzieło ukazało się w 1873 roku w przekładzie polskim.

Sir John Lubbock zawdzięczał tym pracom długi szereg tytułów i godności naukowych, któremi obdarzono go i w jego ojczyźnie i za granicą. Liczne korporacje całego świata zaliczały go w poczet swoich członków, etnograficzne i etnologiczne stowarzyszenia w Ameryce, Francji, Niemczech, Hiszpanji, Portugalji, Argentynie, Danji, Szwecji, Włoszech, Australii, w Indjach wreszcie zapraszały go do swego grona.

Mimo tak szerokiej sławy uczonego, nie był on jednak molem książkowym, zagrzebanym wyłącznie w bibljotekach, muzeach i laboratorjach a straconym dla współczesnej aktualności i praktycznego życia. Z powołania badacz, z zawodu był bankierem; kombinacja niespodziana i niemal niesłychana w naszych zwyczajach i stosunkach. Dom bankierski, odziedziczony po swym ojcu objął pod swój zarząd, a gruntowną znajomość spraw finansowych spożytkował następnie w trzeciej jeszcze dziedzinie swej niezmordowanej i wszechstronnej działalności. — Nie poprzestając na pracy zawodowej i badaniach naukowych, nie zdolny zamknąć się w zaciszy prywatnego życia, choć powab jego wysoko cenił, sir John Lubbock był czynnym obywatelem swego kraju, patryjotą poczytującym za swą świętą powinność służbą publiczną dla ogólnego dobra. Mając lat 36 obrany został do parlamentu i wstąpił do stronnictwa liberalnego. W samorządzie doszedł do wysokiego stanowiska prezesa rady hrabstwa Londynu; później jako lord stał się dożywotnim członkiem izby wyższej.



Sir John Lubbock.

Oto jak pełnym, pracowitym, bogatym i wielostronnym był długi żywot tego sędziwego męża, który uczył swych rodaków rozkoszować się „Powabami życia" i należycie „Wartość życia" cenić.—Ideę tę głosiły dwie jego książeczki znane w polskim przekładzie, a w angielskim oryginale liczące nieskończony szereg wydań.

„Powaby życia" mianowicie rozeszły się w imponującej liczbie blizko pół miljona egzemplarzy, nie biorąc w rachubę przekładów. W książkach tych autor zamknął owoc swych osobistych rozmyślań i doświadczeń, niby sens moralny swego życia, gdyż — choć nie mówi w nich nigdzie o sobie, kreśląc swój pogląd na wszystkie zadania, obowiązki i stosunki życiowe, bezwiednie maluje swój własny, duchowy wizerunek.

Może nie dowiadujemy się z nich zupełnie dokładnie, jakim jest świat ludzki i jego zagadnienia, tak nieraz tragicznie powikłane, lecz widzimy, jak się on odzwierciadlał w duszy tego sędziwego mędrca, pogodnej, łagodnie uśmiechniętej, rozświetlonej wewnętrznem zadowolnieniem z uczciwie i użytecznie spędzonego żywota.

„Życie jest nieocenionym darem"—pisał on na wstępie książeczki, w której roztrząsał wszystkie źródła czystych i trwałych rozkoszy, jakiemi ono darzyć nas może, wyjaśniając, że nietylko prawem naszem lecz powinnością jest z tych darów korzystać. Dla tego to pierwszy rozdział w „Powabach życia" nosi tytuł „Obowiązek szczęścia!

„Szczęście jest stanem duszy, a nie wynikiem okoliczności", mówił gdzieindziej („Wartość życia" str. 11) „Ileż szczęścia możnaby zbudować z darów bezmyślnie straconych i odrzucanych"—a dalej jeszcze: „Staraj się wykorzystać wszystkie dary, jakie posiadasz, a przekonasz się, że są one większe niż myślałeś."

Obowiązek szczęścia ciąży na nas nie tyle ze względu na samych siebie ile na drugich. — Nieraz znacznego wysiłku woli wymaga czuwanie nad swoim smutkiem, lecz umiejętność zdobyta tą drogą należy do najużyteczniejszych, gdyż pogodny nastrój zachowany wobec przeciwności i otoczenia otuchy dodaje i naszą własną energję podtrzymuje.

Autor nie zaleca bynajmniej samolubnego zamknięcia się w sobie, zniecznulenia się na cierpienia bliźnich. Przeciwnie, szczęście egoistyczne nie może być jego zdaniem ani głębokie ani trwałe. „Gdy unikamy współczucia i osłaniamy się zimnym pancerzem egoizmu, to usuwamy od siebie mnóstwo największych i najczystszych rozkoszy".

W dalszych rozdziałach dowodzi, że najcenniejsze źródła rozkoszy są w mniejszej lub większej mierze dostępne dla każdego, kto tylko z nich korzystać może, a w miarę postępu cywilizacji coraz obfitszą i szerszą falą wzbierają.

Wynalazek druku i umiejętność czytania sama przez się jego zdaniem — przyczyniły się niemało do uszczęśliwienia ludzkości, gdyż przez książki możemy obcować z najwybitniejszemi duchami wszystkich epok, poznawać najpiękniejsze i najciekawsze okolice ziemi, doznawać najwznioślejszych i najsilniejszych wrażeń.— Dodać należy, że ta niewątpliwa prawda — ma bardzo wązkie zastosowanie w kraju analfabetów, że dla wykorzystania w pełni dobrodziejstw czytania prócz znajomości potrzebną jest jeszcze pewne wykształcenie, literackie które tylko w bardzo cywilizowanych krajach jest udziałem mas. W związku z tem jednak, Lubbock do „Powabów życia" zalicza oświatę, wychowanie i sa-

mokształcenie, a uwagi jego dotyczące tych kwestji należą do najciekawszych i najtrafniejsze zawierają wskazówki i rady.

Wśród „Powabów życia“ wylicza oczywiście Lubbock piękności przyrody i sztuki, rozkosze przyjaźni i domowego ogniska, pracę i spoczynek, zawsze kładąc nacisk na zachowanie niezbędnej w życiu równowagi.

„Niema ważniejszej rzeczy w życiu niż nauczyć się żyć — pisze we wstępie do swego dziełka „Wartość życia“—„Ludzie kłopoczą się, niepokoją, zabiegają nieustannie o to, by życie swe zachować, bynajmniej jednak nie starają się o to, by życie to było coś warte“.

Jeżeli w pierwszej swej książce Lubbock wyjaśniał czytelnikom raczej subjektywną wartość życia, uczył ich jak mają z niego wydobyć maksymalną sumę najcenniejszych i najtrwalszych rozkoszy; w drugiej udziela mu wskazówek, w jaki sposób mają zwiększyć jego wartość objektywną, uczynić je użytecznem i produktywnem.—Ponieważ jedno z drugiem i w rzeczywistości i w przekonaniu autora wiąże się ściśle, niektóre tematy zatem powtarzają się; spotykamy jednak i zupełnie nowe np. — rozdział poświęcony życiu publicznemu, obowiązkom obywatelskim. W sądy swoje o sprawach publicznych wnosi Lord Eweburg szeroką tolerancję i sumienną bezstronność wyćwiczoną w studjach naukowych. „Nie możemy wymagać, aby wszyscy służyli naszym ideałom, troszczmy się raczej o to, by każdy mógł urzeczywistnić to, co jest najlepszego w jego ideałach, a każdemu dążeniu do doskonałości udzielajmy zachęty“.

Gorący patrjota, przejęty uwielbieniem dla mocarstwowej i cywilizacyjnej potęgi i wielkości swej ojczyzny, przekonany, iż jest to niemałym przywilejem losu urodzić się Anglikiem, niema jednak w nienawiści ani pogardzie żadnego narodu i żadnej rasy, a największą chlubę swą czerpie w tem, że Anglja nikogo nie wynaradawia, służy za przykład innym, jak należy wszelkie narodowości szanować. „Na ogół ten jest najsprawiedliwszy względem innych narodów, kto najsilniej jest przywiązany do swej własnej ojczyzny“—mówi.

Równie dalekim od niego jest fanatyzm religijny, jak polityczny lub partyjny. — O wierze i religji mówi wiele w swych książkach, gęsto przeplatając je cytatami z Biblji i Ewangelji, czyni jednak między niemi bardzo staranny wybór, wyszukując to wszystko, co może stanowić sankcję dla wyznawanej przez niego religji serca, obowiązku, raczej etycznie niż dogmatycznie pojmowanego chrześcijaństwa. „Bardzo wiele takich odrębności, które ludzi dzielą na wyznania, raczej na nazwy partyjnych niż religijnych zasługują“ „Bądźmy pewni—mówi, że gdziekolwiek w rzeczach religji znajduje się słuszność, spory o nią są zawsze niesłuszne: Razi go również to, że „niejeden idzie za Chrystusem nie dla jego cudów, lecz dla rozdawanych przezeń bochenków chleba“. Twierdzi wreszcie: „Wolno nam dla zdobycia prawdy znosić wszelkie cierpienia, nie wolno jednak, nawet dla tego celu, innym cierpień zadawać,“ Wierząc silnie w postęp jest też przekonany, że w miarę, jak ludzkość podnosi stopień swej cywilizacji, wiara jej również wyższa się staje; stopniowo dochodzi do wznioślejszego i czystszego pojęcia Boskiej potęgi.“

Zastanawiając się tak wielostronnie nad życiem nie mógł John Lubbock pomijać jednak i jego nieuchronnej mety — śmierci, którą omawiał w rozdziale „Przeznaczenia człowieka“. Nie była ona jednak dla niego przedmiotem niepokoju i grozy. Mówił o niej ze spokojem uczonego, który w niej widzi naturalne zjawisko, wytrwałego pracownika, który oczekuje po niej zasłużonego wypoczynku, wreszcie uczonego, który w ciągu życia swego czyniąc tyle dobrego, na ile starczyło sił i okazji, postępując zawsze pod wpływem szlachetnych i humanitarnych pobudek, nie miałby powodu lękać się sądu i kary, nawet gdyby wierzył, że istnieje cała owa pośmiertna katownia, którą wyobraźnie średnio wiecznych ascetów na obraz współczesnych inkwizycji stworzyły.

„Gdyby śmierć była ostatecznym końcem, mówi rozsądnie, niktby nigdy nie wiedział, że umarł“. „Przypuśćmy, że dusza jest nieśmiertelna, lecz że między obecnem a przyszłem jej istnieniem jest głęboka szczelina w świadomości i że ona nie pamięta swego dawniejszego życia, czyż w takim razie to, co ta dusza przeżywa, bliżej obchodzić nas będzie, niż dzieje jakiejkolwiek innej duszy?“ Wreszcie, jako trzecią hypotezę stawia obiecany przcz religję pośmiertny żywot duszy w szczęśliwości wiekuistej i cieszy się, że w takim razie „wszystkie powaby życia niczem są wobec rozkoszy niebieskich“.

„Niewątpliwie, jeśli w godzinę śmierci sumienie jest spokojne, dusza nie doznaje lęku. Przyszłość jest pełna wątpliwości, zapewne, lecz również pełna nadziei“.

Obie książki powyżej cytowane uważać można jako moralny testament zmarłego uczonego, którego wytrwałem usiłowaniem było wpoić w ludzi miłość życia i spokój wobec śmierci.

Iza Moszczeńska.

Z TYGODNIA

Profesor Pareński.

Nauka polska nie posiada zbyt licznego zastępu pracowników, to też ubytek każdego wybitnego uczonego wzbudza żal powszechny, tem gorętszy, im bardziej niespodziewany był skon jego.

W sposób wysoce tragiczny zginął w ubiegłym tygodniu profesor wszechnicy Jagielońskiej, dr. Stanisław Pareński, jeden z najwybitniejszych internistów polskich.

Pogrzeb zmarłego w zagadkowych okolicznościach uczonego, był wielką manifestacją nauki polskiej, a wspomnieniu profesora towarzyszyć będzie niezatarta pamięć licznych jego uczni.

„Habemus archipresbiterem".

Opróżniona przez śmierć ks. Popiela katedra arcypiskupia nie wakowała zbyt długo. Kurja rzymska w porozumieniu z rosyjskiem ministerjum spraw wewnętrznych, wyznaczyła na to odpowiedzialne stanowisko ks. A. Kakowskiego, doktora praw, rektora Akademji duchownej w Petersburgu.

Ks. Kakowski z przekonaniami politycznemi zbliżony jest do „realistów", w kołach du-



Ks. Aleksander Kakowski.
Arcybiskup Metropolita Warszawski.

chowieństwa zaś uważany jest za zwolennika pewnego liberalizmu.

Jakie zaś będą rządy najwyższego w Królestwie dostojnika kościelnego — czas pokaże.

Sufrażystka.

Śmierć panny Dawison, owej sufrażystki, która rzuciła się pod kopyta konia królewskiego na wyścigach w Derby, dała wiedeńskiej „Arbeiter Zeitung" powód do kilku słusznych uwag.

„Nikt, kto ma serce w piersi nie będzie czytał bez wzruszenia historji kobiety, która zmarła w jednym ze szpitali londyńskich. Tą kobietą jest panna Dawison.

Wobec dziesiątek tysięcy ludzi, zgromadzonych na wyścigach, chciała dowieść, że kobieta także potrafi poświęcić życie, gdy chodzi o wywalczenie prawa obywatelskiego dla jej płci. W samej rzeczy jest ona pierwszą krwawą ofiarą walki kobiet o wyzwolenie polityczne. Na grobie tej kobiety musi zamilknąć tania kpina, z pomocą której niektóre sfery prowadzą walkę przeciwko sufrażystkom".



Miss E. Davison.



Żokiej, Herbert Jones, który spadł z konia, wstrzymanego przez miss Davison.

Czyn panny Dawison dowiódł, że nic nie zdołała tych kobiet wstrzymać w pochodzie ku równouprawnieniu. I nie ulega wątpliwości, że zdołają one je kiedyś wywalczyć.

Miecz i dyplomacja.

Wznowienie wojny podjazdowej w Macedonji. — Sprzeczne interesy mocarstw europejskich. — Wynurzenia hr. Tiszy — Z powodu jubileuszu cesarza Wilhelma II-go.

Na Bałkanach znów toczy się wojna, — bo czyż nie są wojną starcia, w których pada po kilkunastu a nawet po kilkudziesięciu ludzi? Na razie wojna to „nieurzędowa", gdyż jej nie wypowiedziano; nie kierują nią bezpośrednio oficerowie armji regularnej,—i, co najważniejsza, nie armja regularna jest stroną zaczepiającą. Jakby z pod ziemi wyrosły znów rozmaite „bandy", „czety",—o których przed wojną z Turcją przez długi szereg lat bezustannie się słyszało. Tylko, że dawniej owe czety i bandy występowały przeciw turkom,—dziś zaś serbskie napadają na bułgarów, bułgarskie na serbów, a serbskim znów greckie spieszą z pomocą.

I znów na porządku dziennym jest: niszczenie mostów kolejowych, wysadzanie w powietrze pociągów, wiozących wojsko, napady na wsie, zamieszkałe przez ludność przeciwnego plemienia. Słowem, na nowo odtwarza się ten sam obraz, jaki widniał na Bałkanach w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Okazuje się, iż mieli słuszność ci, co znając stosunki i nastrój ducha ludów bałkańskich, twierdzili, że nigdy tam nie będzie spokoju, gdyż na niewielkiej stosunkowo przestrzeni zbyt dużo nagromadziło się wrogich sobie żywiołów i sprzecznych interesów.

Głównie zaś źródłem tego, co się obecnie tam dzieje, są sprzeczne interesy mocarstw europejskich. Rosji, a za nią i Francji z Anglją, zależy na utrzymaniu spokoju na półwyspie bałkańskim, — przynajmniej do jakiegoś czasu.

A jest to całkiem naturalne:

Biała margerytka w Skierniewicach.



Dn. 15 b. m. w niedzielę Skierniewice miały dzień kwiatka na korzyść ubogich. Do sprzedaży zaproszono wszystką młodzież miejscową ze sfer inteligentnych, która z całym zapałem wypełniła przyjęte obowiązki i zebrała dość obfity plon.

---

wypadki ostatnich miesięcy: utworzenie związku bałkańskiego wojna z Turcją, — wszystko to odbywało się, jeżeli nie za poparciem lub przy pomocy Rosji to w każdym razie pod jej egigą. Zwycięstwo związku, — to zwycięstwo Rosji. Utrzymać je, zebrać z niego o ile możności jak największe plony — oto zadanie dyplomacji rosyjskiej i w tym kierunku zwraca ona swe usiłowania.

Wręcz przeciwne są dążenia Austrji: rozbić związek, bałkański, zniszczyć ludy słowiańskie które się wzmogły zwycięstwem nad Turcją, osłabić je tak na długie lata, aby nie mogły w wypadkach zniszczenia europejskiego żadnej odegrać roli: — do tego dąży dyplomacja austrjacka.

O ile Rosji zależy na utrzymaniu pokoju na Bałkanach, o tyle Austrja pragnie tam wojny i pcha do niej wszelkiemi siłami. Utrzymanie pokoju, — to niewątpliwe wzmocnienie Rosji na długi szereg lat; — wojna serbsko-bułgarska, to pokrzyżowanie wszystkich planów rosyjskich na korzyść Austrji.

Dyplomacja austrjacka przyznaje to otwarcie. Nowy prezes ministrów węgierskich, wygłaszając pierwsze swe na tem stanowisku oświadczenie, wyraźnie powiedział:

— Musimy zajmować się i zajmować się też będziemy wszystkiem, co się dzieje na Bałkanach, i nie ścierpimy tam żadnego rozwoju, przeciwnego naszym interesom.

Jaśniej wyrazić się nie można. A w Wiedniu pospieszono z zapewnieniem, że hr. Tisza przemawiał w imieniu obu połów monarchji habsburskiej, nie jako Węgier, lecz jako dygnitarz austrjacko-węgierski.

Więc ścierają się dwa wręcz przeciwne prądy. Rosja czyni wszystko co możebne, aby nie dopuścić do wojny między Bułgarją z jednej, a Serbją i Grecją z drugiej strony, — Austrja zaś zabiega wszelkiemi sposobami, aby Bułgarji zapewnić pomoc Rumunji, a nawet Turcji, a to dlatego, aby podtrzymać jej siły, jej zaufanie w swą potęgę i jej pretensję do zagarnięcia całej Macedonji.

Aby ocenić moralną wartość tych zabiegów, wystarczy przypomnieć, że w ostatniej wojnie bułgarsko-serbskiej Austrja stała po stronie serbów, a po ich klęsce pod Śliwnicą, wyraźnie zapowiedziała w Sofji, że bułgarzy natkną się na bagnety austrjackie, gdyby chcieli posunąć się w głąb Serbji. Niedawno temu taż sama Austrja popierała pretensje rumuńskie przeciw Bułgarji; dziś najgorliwiej zabiega około utworzenia sojuszu rumuńsko-bułgarskiego.

Dziwić się temu nie można: dla dyplomacji niema zasad niewzruszonych; ona ma tylko interesy państwowe. Nic też dziwnego, że dyplomacja serbska, widząc ten zwrot w całokształcie stosunków, najbliżej obchodzących Serbję, zaczyna wyrażać ubolewanie, że ostatnia wojna zamąciła dobre jej pożycie sąsiedzkie z Austrją,—i zaczyna „oczkować“ w stronę Wiednia.

Niemcy wyraźnie dają do zrozumienia, że chociaż je to bardzo obchodzi, nie chcą jednak mieszać się do tego „niewyraźnego interesu“, Jubileusz 25-lecia panowania Wilhelma II-go nastręczył okazję do przejrzenia się bliżej historji ubiegłego ćwierć wieku. A to przyjrzenie się przekonało polityków niemieckich, jak słusznem było twierdzenie Bismarcka, że „cała kwestja bałkańska nie warta jest dla Niemiec, kości jednego grenadjera pomorskiego”.

Najbardziej dyplomatyczne zdanie, jakie wygłoszono kiedykolwiek, pod pozorem najoczywistszej prawdy—kryje ono całą politykę, całą dążność Niemiec w kierunku wręcz przeciwnym; przez całe lat 25 Niemcy dążą do ekonomicznego zawładnięcia nietylko półwyspu Bałkańskiego, ale całego wschodu europejskiego, bez poświęcania choćby jednego żołnierza.

W tem właśnie leży wielkość panowania Wilhelma II-go, Bez wydobycia miecza monarcha ten zapewnił Niemcom przodujące w Europie stanowisko, stworzył wielką flotę niemiecką a polityką kolonialną rozszerzył widnokrąg Niemiec. Czynów znakomitych nie było w tem dwudziestopięcioletniem władztwie; było za to wiele mów.

Znanem jest zdanie: „rozumny człowiek popełnia czasem głupstwa, ale nigdy głupstw nie mówi“. Cesarz Wilhelm nie popełnił nigdy głupstwa. *h. m.*

OSOBISTE.

P. Marjan Żelisławski, b. wychowaniec szkoły Wróblewskiego, zdał z odznaczeniem egzamin z siedmiu klas gimnazjum w Orle.



Femina

TEATR NOWY. — „DUDEK".

OPIS TUALET.

Akt I. P. Leszczyńska. Tualeta wizytowa, koloru *marquisétte*, zręcznym eleganckim krojem. Spódnica dosyć i nie bardzo wązka. *Blouse casaque* z indyjskiego muślinu w kwiaty *chiné*, z czarnym szlakiem, rękawy długie nadmarszczane, zdobne przy ręku koronką brukselską. Kapelusz toczek zielony, zdobny czarną *brylantyną* i kwiatami. Wspaniałe perły z brylantami w uszach i niezwykłej piękności pierścionki. Całość noszona z prostotą i wdziękiem przez znakomitą artystkę.

P. Bogorska. Tualeta domowa, młodej, elegackiej damy *modern style*. Materjał *double satin*, koloru *bleu Natier*, spódnica t. zw. *robe ouverte*, odsłaniająca swobodnie prześliczne nóżki, zręcznie na boku uniesionem podpięciem, zakończonem czarnym aksamitnym *chou*. Taka sama *blouse areoplan* z rękawami wszytemi od pasa, przytrzymana na bokach czarną aksamitką. Pas *„bayadere"* z niebieskiego brokaru w srebrne kwiaty. Biały kapelusz z olbrzymiemi rajerami. Niebieskie atłasowe pantofelki, zalotne białe gazowe pończoszki, piękne brylanty w uszach i na szyi. Paryski szyk i zacięcie.

P. Mrozińska. Bajecznie eleganckie zjawisko o zgrabnych, miękkich ruchach młodej kotki, ustrojone prześlicznie, ubrylantowane wspaniale. Suknia wizytowa z *satin duchesse*, koloru *gris perle*, niezwykłym a niezmiernie zręcznym krojem, fałdy ujęte na jednym boku artystycznem zebraniem, na wierzchu przytrzymane *paniers*, pas *bayadère*, z brokateli tureckiej, olbrzymi *reticule* z popielatego atłasu i tureckiej brokateli. Kapelusz czarny, przybrany *brylantyną* i wspaniałe rajery.

Akt II. P. Bogorska. Tualeta wizytowa *modern style*, cała w upięciach i draperjach. *Crêpe de Chine* w kolorze *lila rose*, przybrana niebicskim atłasem *turguoise*, z takąż szarfą. Niebieskie atłasowe pantofelki, białe gazowe pończochy. Kapelusz *Capeline* niebieski, przybrany wspaniałemi paradyzami.

P. Mrozińska. Bardzo skromna sukienka, ale niezmier-



P. Leszczyńska. Akt I.
Fot. Malarski i Tavrell.



P. Bogorska. Akt I.
Fot. Malarski i Tavrell.



P. Mrozińska. Akt I.
Fot. Malarski i Tavrell.

nie szykowna, z lekkiego jedwabiu niebieskiego w paski, spódniczka i także bluzka *areoplan*, z modnemi rękawami — płaszcz jedwabny *george de pigeon*, cudnie draperowany, kapelusz biały. Druga tualeta. Negliż z niebieskiego *Crêpe de Chine*, rodzaj szlafroka, przybrany koronkami. Na głowie prześliczny nocny czepeczek.

Akt III. P. Bogorska. Kostjum z *toile bulgare* biały, do tego *veste* biała w różowe *relief* kwiaty, uwydatniająca niezwykle zgrabną talję artystki. Czarny kapelusz z drobnemi indyjskiemi piórkami i olbrzymim czarnym paradyzem.

Marcèle.



P. Mrozińska. Akt II.
Fot. Malarski i Tavrell.

MODA WIEDEŃSKA.

KOSTJUMY „PEPITA“.

Wszyscy który się zajmują tą obszerną frakcją przemysłu i handlu, tym wielkim motorem wprowadzającym w ruch miljony maszyn i rąk — dającym olbrzymie zyski producentom a zapewniającym chleb pracownikom swoim — wszyscy których interesuje „Moda“, tak potężna i ruchliwa — wiedzą że Wiedeń, posiada od dawien dawna specjalne swoje mody, różniące się choć nie zasadniczo — ale jednak dosyć znamiennie od Paryzkich i Londyńskich—Jedną z przyczyn, które to wywołały — są specjalne warunki powierzchowności Wiedenek. Są to bowiem śliczne i wspaniale zbudowane kobiety — przeważnie rosłe, o kształtach pełnych, okrągłych, mają swój odrębny szyk, i giest — nie będący wcieleniem subtelnej gracji i elegancji Paryżanek, ale posiadający urok oryginalności opartej na wyglądzie zdrowym, silnym hygienicznym. Dawniej, gdy noszono jeszcze *staniki*, ściśle rysujące kształty, wielkie wszechświatowe elegantki i pierwszorzędne artystki sceniczne, kazały robić spódnice w Paryżu a staniki w Wiedniu, dowodząc, że stanik pięknie modelujący kształty, tylko w pracowniach wiedeńskich wykończonym być może. Przy obecnych modach—już to nie istnieje, stanik, we właściwem tego słowa znaczeniu poszedł w zapomnienie—zastępuje go bluza tak zwana *aeroplan*, lub żakiet, lub draperja misternie dokoła biustu owinięta. Mimo to, wszystkie wiedenki utrzymały pewną odrębność w ubraniu, bądź spacerowem, bądź wieczornem, będącą w ścisłym związku z cechami ich powierzchowności. Jednym z takich objawów jes wprowadzenie w modny obieg kostjumów tak zwanych *Pepitakleid* z materjałów w kratkę białą z czarnym—z granatowym lub orzechowym. Kostjum taki tworzy całość w kratkę, lub składa się z żakietu w kratkę z białą kamizelką, kołnierzem i mankietami, a spódnicy gładkiej. Jest to i eleganckie i praktyczne, oczywiście jako ubranie spacerowe, skromne. W Paryżu te kratkowane materjały nazywają się *damier*, i są wykluczone z bardzo eleganckiego tualetowego repertuaru; w Wiedniu noszą je i bardzo wytworne panie i szerszy ogół, różnica oczywiście polega jak zawsze i wszędzie w gatunku tegoż materjału i w robocie. Wiedenki mało noszą tak zwanych *robes ouvertes*, czyli sukien odsłaniających przez upięcie draperji, stopy powyżej kostek, może dla tego że nie mają lilipucich kończyn — lub też, że w ogóle lubują się w linjach prostszych, spokojniejszych.

Marcèle.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

SAMOJAZD NA USŁUGACH ROLNICTWA.

Pierwotny rolnik, który z koczownika, myśliwca i pasterza, powoli przekształcał się w osiadłego obywatela, nie wiele dbał o narzędzia do uprawy roli. Podpalał kawał, lasu a kiedy nieco zgliszcza ostygły, wyrównywał je motyką i zasiewał ziarno pomiędzy ciepłe jeszcze popioły. Następnie jednak zakładał już konia do sochy, t. j. do kloca sosnowego z sękami i nim poruszał ziemię, by jako tako ją uprawić. Taka socha przetrwała jeszcze do ostatnich czasów, w postaci drewnianego pługa z jednem tylko okuciem żelaznem na końcu lemiesza i dotąd istnieje w niektórych zakątkach naszego kraju u włościan. Przeszedł następnie długi okres rozwoju narzędzi do uprawy roli, podczas którego ulepszano wciąż pługi pod względem ich konstrukcji i materjału, lecz zawsze wół i koń, pozostawały jednemi żywemi pociągowemi machinami. Wprawdzie, już dawno w Chinach wobec przeludnienia kraju i rozdrobnienia się własności ziemskiej na karykaturalnie małe parcele, stały się pociągowym i jucznym inwentarzem — jednakże ogół rolnictwa światowego używa jeszcze dotąd głównie konia, jako motoru do uprawy roli, wyeliminowawszy częściowo wołu, zbyt powolnego w chodzie i potrzebującego obszernych pastwisk dla swego utrzymania.

Z czasem jednak i koń pomimo swych zalet: siły, wytrzymałości, zwinności oraz przystosowania się do wszelkich klimatów, rodzaju pożywienia, nazbyt się już drogim staje motorem. Cena ziemi i jej produktów wzrasta szalenie szybko, tymczasem koń zjada 20% produkcji z obrabianej przez niego roli — i dlatego też zamiast żywego, zaprzęgnięto już dawno parowego konia do młocki i orki i t. d. O ile jednak ta pierwsza znakomite daje dotąd rezultaty, gdyż motor parowy działa najlepiej, stojąc na miejscu, o tyle orka parowa, stosowana wprawdzie pomyślnie na wielkich obszarach, bardzo niedogodna jest na mniejszych gospodarstwach, gdyż nadzwyczaj kosztownej wymaga instalacji.

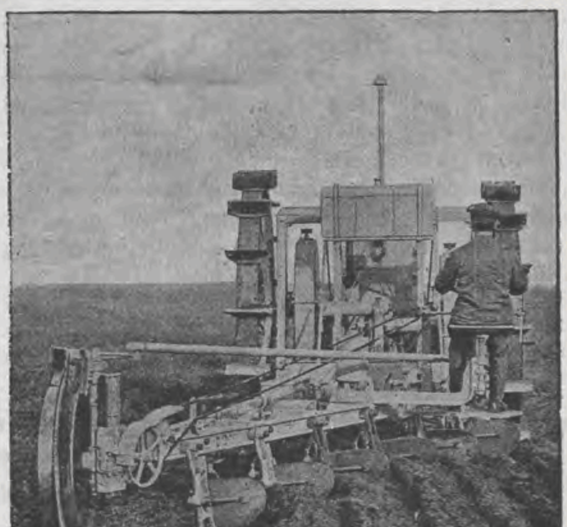
Rolnictwo zaś ostatniej doby, wchodząc zupełnie na fabryczne już tory produkcji, absorbując dla swych potrzeb najświeższe wynalazki techniki i rachunkowości przemysłowej, wciąż szuka nowych silników. Kiedy więc parowe motory używane już dawniej powszechnie do młocki, sieczkarni i mlewa, a częściowo i do uprawy roli, okazały się zbyt do tego kosztowne i ciężkie i obecnie jako nowe źródło energji mechanicznej, stosowany jest silnik wybuchowy, typu samochodowego, bardzo prostej konstrukcji.

Ameryka posiada już przeszło 70 fabryk, produkujących takie rolnicze samochody, służące tam zarówno do przewożenia ciężarów, jak również do orki, bronowania, przykrywania, siewu i t. d.

Ubiegłej jesieni pod egidą Centralnego Tow. rolniczego, odbył się szereg prób z orką silnikową w Czerwonce i Bielicach pod Warszawą, z udziałem rolników, zjeżdżających się z całego kraju, a prócz tego i z różnych dalszych okolic dochodzą wiadomości o pomyślnych wynikach tego rodzaju uprawy.

Motor taki, opalany benzyną, naftą lub ropą, ciągnie sam po drodze wozy, a po roli pługi o kilku skibach, z szybkością do 5 kilometrów na godzinę, przy obsłudze jednego człowieka, kosztuje około 7 tys. rubli i zorać może dziennie około 12 morgów, zastępując 40 koni.

W Ameryce z jego pomocą sprzątają już nawet zboże, zaprzęgając do żniwiarki, a rozwój jego jest na drodze do stania się w rolnictwie uniwersalną trakcją, zastępującą konia, nie ustępującą mu w zwrotności i lekkości, a przewyższającą go wytrzymałością i siłą — słowem na wszystkich punktach zaczyna się już nowa — benzynowa era.



„Stock". System sztywny, przedstawiony przez p. Humnickiego.

Użycie motorów wybuchowych będzie się też coraz więcej upowszechniać, w miarę, jak renta gruntowa się zwiększa, siła końska drożeje a fabrykacja machin tych się popularyzuje. Obecnie jeszcze jest ona stosunkowo dość droga, ze względu na cło zagraniczne i brak obsługi. Koszt np. na 45 mk. motoru systemu „Stock“ wynosi wraz z pługiem i gruberami 10 tys. rb. Koszt więc pługa-motoru, licząc na amortyzację 8 lat, przez który to przeciąg czasu wyorze się nim 11,000 morgów, wyniesie jeden mórg 75 kop.

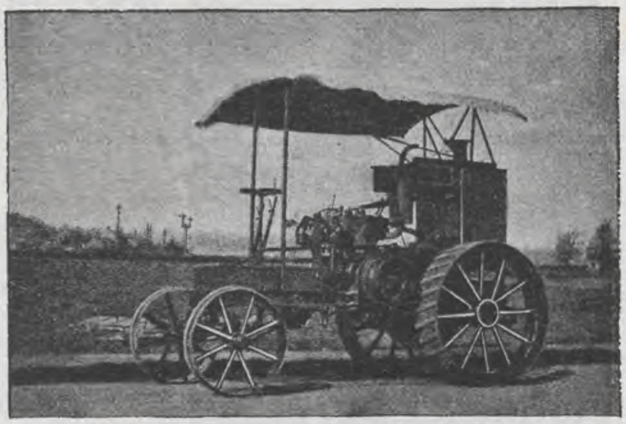
opał i smarowidło	1,80 „
obsługa	25 „
remont	20 „
% od kapitału, assekuracja i t. d.	30 „
Razem—koszt orki morga .	3,30 kop.

Porównywając z tem koszt orki końmi, wypada ona obecnie jeszcze względnie taniej, przyjąć atoli należy pod uwagę, że cena koni i furażu ciągle wzrasta, podczas gdy maszyny, opał, smar i t. d. tanieją, a intensywność ich roboty ciągle wzrasta. Dokładność zaś orki mechanicznej nigdy nie może równać się z końską, gdyż działa zawsze z równem natężeniem siły i pracować może dniem i nocą — dopełniając zaległości i braki w robocie, których rolnik nigdy na czas nie jest w stanie wykończyć — przy orce końmi.

Orka motorowa pogłębia nie tylko warstwę rodzajną, ale przedłuża okres roboczy i wegetacyjny — zmienia jednem słowem warunki klimatyczne mechanicznej uprawy oraz stosunku potrzebnej ilości służby i najmu do morga.

Na ostatniem zebraniu w Centralnem Tow. Rolniczem w Warszawie, toczyły się bardzo ożywione debaty nad tem, jaki typ pługa motorowego jest odpowiedniejszy w naszych stosunkach, czy „Drogówka“, gdzie motor jest luźno połączony z narzędziem do uprawy roli, służącym, i który poza tem może służyć jeszcze do przewożenia ciężarów, do poruszania różnych gospodarskich maszyn jak: młockarni, młynów, sieczkarni i t.d. czy też należy raczej trzymać się systemu t. zw. sztywnego, gdzie motor stanowi jedną całość z narzędziem, przyczem naturalnie nie może być tak lekki i zwinny, jak drogówka, odpinana w razie potrzeby, jak lokomotywa od pociągu. Każdy system ma swe dodatnie i ujemne strony, zwłaszcza, że i cała orka maszynowa musi jeszcze wprowadzać nowe ulepszenia. Zdaje się jednak, że „Drogówka“, jako mniejszy i tańszy motor, nadaje lepiej się dla mniejszych gospodarstw.

W Anglji też chodzą już nawet motory parokonne, ciągnące pług jednoskibowy, a potem spełniające różne inne czynności w chłopskiem gospodarstwie. Taka jednak, jak i każda wogóle uniwersalność, nigdy nie może iść w parze z dokładnością i precyzją w robocie, cały zaś mechanizm „Drogówki“ jest zawsze cięższy aniżeli



Drogòwka-traktor, Sandersona (system luźny).

w pługu systemu sztywnego, gdzie wszystkie niepotrzebne części samochodu są usunięte, a prostota i celowość doprowadzona do możliwych granic. Ciągle w tym kierunku ulepszany pług ten dla dużych obszarów, gdzie tylko specjalnej orki potrzeba, bezwarunkowo ma też pierwszeństwo.

Zresztą, przy orce motorowej opłacalność jej jest wynikiem kilku czynników: jak koszt nabycia opału i smaru, wydajność roboty, gatunek gleby, stan jej kultury i t. d., zależnie więc od ich ustosunkowania, wypada opłacalność tej lub owej maszyny.

Na pokazie w Wołominie, urządzonym staraniem Wydziału rolniczego Centralnego Tow. Rolniczego w dnin 14 czerwca, funkcjonowały właśnie dwa samojazdowce-pługi tych obu systemów. Niewielka drogówka 8-konna typu Sandersona, pokazana była przez Warszawski syndykat Rolniczy — luźno wiodąc za sobą najpierw trzyskibowiec Zawadzkiego, następnie zaś czteroskibowiec i spulchniacz. Drugi typ sztywny „Stock“ przedstawiała firma inż. Humnickiego o sile 45 koni parowych, stanowiący jedną całość z pługiem o 6 skibach.

Pługi orały na twardym odłogu, przyczem „Stock“ chodził równiej i prawidłowo odwracał skiby—drogówka zaś w końcu z powodu jakiejś naprawy nie mogła dokończyć pokazu, — który w dalszym ciągu odbywa się na wystawie w Milanówku.

J. T.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

21)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Książę jednak nie był dnia tego u hrabiów Potockich. Pochłaniały go sprawy publiczne. Zajął się energicznie organizowaniem siły zbrojnej. Tedy przedewszystkiem, stosownie do starych polskich tradycji, zarządził obwołanie pospolitego ruszenia przez Konfederację Generalną.

Coprawda, nie miał do tej formy przestarzałej już, nienadającego się do nowych sposobów prowadzenia wojny, zbytniego zaufania i rzeczywiście niewielkich doczekał się z owego pospolitego ruszenia pociech. Natomiast pomyślniej wypadły organizacje pierwotnej konskrypcji dwudziestu pięciu tysięcy popisowych do linji, poboru do wzmocnionych gwardji narodowych, tudzież branki jezdnej i pieszej, stosownie do ilości dymów po wsiach.

Na każdym kroku spotykał trudności, zda się nieprzeparte, z powodu braku funduszów, z powodu absolutnego wyczerpania już lepszego materjału rekruckiego, wreszcie z powodu braku odpowiedniego poparcia kolegów ministrów. Mimo wszystko, w ciągu kilku zaledwie tygodni stanęło pod bronią znowu kilkanaście tysięcy ludzi, może jeszcze nieprzepojonych duchem wojskowym, ale zdolnych do przyjęcia go w czasie najkrótszym pod grozą nieodpartej potrzeby.

Książę rozumiał lepiej niż ktokolwiekbądź inny, powagę sytuacji. Kraj nasz stał na przełomie nowych ukształtowań dziejowych.

Nieudana wyprawa moskiewska, prowadzona przez Napoleona w koalicji z całą Europą, przeciw odosobnionej Rosji, zaczynała przeobrażać się na walkę wszystkich sprzymierzonych z Rosją państw Europy przeciw osamotnionemu Napoleonowi.

Przeobrażenie to, na razie, odbywało się potajemnie, w szeregu zdradzieckich knowań i nieszczerości dyplomatycznych, stopniowo jednak wychodził na jaw nieżyczliwy stosunek do cesarza tych dotychczasowych przyjaciół. Wiadomo już było, że Prusy nawiązywały dawny sojuszniczy stosunek z Aleksandrem; a obecnie Austrja zdradzała coraz wyraźniej dążenia swoje w tym kierunku. Dowódca austrjackiego korpusu posiłkowego, feldmarszałek Schwarzenberg, najserdeczniejszy ongi przyjaciel księcia Józefa ze szkoły wojskowej w Wiedniu, już podczas całej kompanji moskiewskiej, odgrywał bardzo dwuznaczną rolę, teraz zaś niewątpliwie, według otrzymanych z góry wskazówek, zdradza już najwyraźniej sprawę Napoleona, a z nią i sprawę polską. Wykonał on ze swoim silnym, wypoczętym trzydziestotysięcznym korpusem szereg ruchów dziwacznych, świadczących aż nadto wymownie, że działa umyślnie, ażeby obronę księstwa i Warszawy uczynić niemożliwą. Zresztą nie było tajemnicą, że nawiązywał on sekretne rokowania ze znanym z podobnego rodzaju wystąpień intrygantem Anstettem, wysłannikiem rosyjskim.

Wiadomo było, że [z przebiegłym tym alzatczykiem ułożył zasady podstępnej konwencji, polegającej nad odsłonięciu Warszawy. Feldmarszałek też, już w końcu stycznia wycofawszy się z korpusem za Pilicę, sam przyjechał do Warszawy, oświadczając rządowi Księstwa, że wobec przeważającej siły nieprzyjacielskiej, nie widzi możności zasłaniania dłużej stolicy. Wiadomość ta w najwyższym stopniu wzburzyła księcia Józefa. Widział zdradę, jawną — zdradę ze strony człowieka, którego niegdyś za przyjaciela swego uważał. Postanowił się z nim rozmówić, już nie jak przedstawiciel pewnych interesów politycznych, ale jak człowiek honoru z człowiekiem honoru.

— Zdradzasz nas! — rzucił mu w rozdrażnieniu, kiedy feldmarszałek przyszedł go odwiedzić w pałacu pod Blachą.

Schwarzenberg starał się kłamliwie usprawiedliwić.

Jakże chcesz — mówił — ażebym z korpusikiem swoim, zaledwo trzydziestotysięcznym, stawiał czoło całej armji rosyjskiej. Sprawą najprostszej taktyki wojskowej jest zejść z pola, dlatego to właśnie cofam się ku Galicji.

Książę Józef patrzył na niego długo, miotany najsprzeczniejszemi uczuciami.

Ten człowiek kłamał. Oficer, rycerz, dawny jego towarzysz broni, dawny jego przyjaciel kłamał. Czy ma mu rzucić w twarz obelżywe słowo: Łżesz!

(d. c. n.)



MARJAN ORLICZ

2)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Ha, dobrze tym, co tak rozumować potrafią, Niekażdy jednak chciałby ze sztuką wchodzić w kompromisy.

— A no, naprawdę macie, apostole.—Jakajtys wstał i podszedł bliżej.—Nie każdy potrafi ze sztuką wchodzić w kompromisy, ale też nie każdy chce zdychać z głodu. Iluż to ja sam znałem takich, co z nędzy wyciągnęli kopyta. Wyspiański wielki, czczony, wielbiony. Ale kiedy, kochanieńko? Ot wtedy, kiedy najprzód bieda, a potem choroba jego dogryzały, kiedy już resztkami życia gonił. A i to dobrze, że przynajmniej czegoś doczekał. Drudzy i tego nie mieli. Iluż to mamy takich Kurzawów, Podkowińskich, a ilu, o których nie wiemy. Włoży bywa w pracę kawał siebie, krwią serdeczną zarosi, a tu nędza, albo niesprawiedliwość go zeźre. Drugi to się i rozpije z rozpaczy, a wtedy dopiero, hajże na Soplicę: a łajdak, a pijanica, talent przemarnował.

— Ręczę wam jednakże, że żaden z nich, gdyby mu dano do wyboru, nie chciałby zostać parobkiem sztuki. Kto iskrę Bożą w piersiach czuje...

— Mój apostole, wtrącił Kryński, jakoś mi się widzi, że wy z waszym sentymentalizmem „dix huit cent trente“ daleko nie zajdziecie.

— Bardzo być może. Zanadto jednak czczę sztukę, abym na niej miał urządzać spekulacje. Tyle nędz i bólów wsiąka w życie ludzkie, tylą ono łzami przepojone, że chyba tylko w sztuce, tem drugiem, fikcyjnem życiu, znaleść nam trochę radości. Przy niej jednej biednej duszy ludzkiej i cieplej i weselej.

— No, już cieplej i weselej, — Skrzecki wyskoczył na środek, — to już chyba tylko przy dziewczynie.

Orliński powiódł po nim swoim smutnym wzrokiem.

— Ciekawa rzecz, czy ten chłop ma rzeczywiście tyle wesela w duszy, czy też to zrobione, ta jego wieczna wesołość.

— Ściemnia się, a niewiele dziś przy was zrobiłem.

Żarski zwrócił się do modelki.

— Alice, jutro o tej samej porze, prawdopodobnie skończymy.

Dziewczyna zeskoczyła z podjum i poszła za parawan się przebrać.

Skrzecki zapukał w parawan niby we drzwi.

— Można?.. Chciałbym ci pomóc. Jak ci na imię, dziecino?

Poważny Orliński zbliżył się flegmatycznie.

— Ja się lepiej znam na tych rzeczach.

— Nie wierz mu, koteczko, to niedołęga.

Żarski obu ich odciągnął delikatnie.

— Dajcież dziewczynie spokój.

Skrzecki wzniósł ramiona z politowaniem:

— Słuchaj, czego ty wiecznie robisz ze siebie taką uroczystą małpę? Nieee! to rozpacz patrzeć, jak ten człowiek marnuje swoje młode lata.

Ogólny śmiech rozdzwonił ściany pracowni.

W tej chwili ozwało się pukanie do drzwi i szczupły brunet w pelerynie i dużym kapeluszu wsunął swą kościstą postać.

— Czołem... Cóż się tu rhobi? Słychać was aż na dole.

— A bo ten Skrzeka, ze swemi andrusowskiemi kawałami, — mówi, dusząc się jeszcze od śmiechu Orliński. — Dobrze, żem tego pajaca nabył na własność... będzie mi przynajmniej za wikt i opierunek słodził godziny czarnej melancholji.

— Poczekaj, wymaluję ci ją na różowo, tę twoją czarną melancholję, różowe z czarnem w kratki, będzie do twarzy twojemu „Weltschmerzowi". No i cóż, poeto, — zwrócił się do przybyłego, — zawsze jeszcze w poszukiwaniu absolutu?

Rastler wyszczerzył w gorzkim uśmiechu rząd spróchniałych zębów.

— Podłe życie... Niema tam którhy z was parhę denarhów?

Skrzecki wytrząsnął portmonetkę.

— Jak kocham połgęski cioci Femci, mam jednego jedynego „frania", a i ten już przeznaczony na święty cel: muszę za niego pójść zalać robaka.

Żarski sięgnął nieznacznie do kieszeni i dyskretnie wsunął monetę w rękę Rastlera. Dziecię muz jednak nie miało widocznie w tym kierunku żadnych przesądów. Nie zażenował się wcale, przeciwnie, ostentacyjnie uścisnął Żarskiemu rękę i wyrzekł z patosem:

— Oby bogowie, a co ważniejsza, boginie łaski swe na nas zlały!

— Amen! — wykrzyknął Skrzecki, wznosząc oczy i robiąc im nad głowami znak krzyża.

Kryński, rad, że znalazł nową ofiarę, przysunął się z krzesłem.

— No cóż ciągle „nie idzie"? — spytał Rastlera, niby dobrodusznie.

— A nie idzie. Psiakrhew! posłałem tym krhetynom do „Nowości Warszawskich" sprhawozdanie z ostatniego Salonu i znowu nie pomieścili.

— Widocznie nie poznają się na was. A mieliście, jakem słyszał, tu, w Paryżu, pracować stale w „Odrodzeniu".

— Miałem zamiarh. Ale bo to można prhacować w piśmie, gdzie rhedaktorh smarhkacz, krhetyn...

— Ale, ale, — Kryński mruknął porozumiewawczo na kolegów, — byłem wczoraj u Milsz'a, pokazał mi ostatnie studjum żony, bardzo dobre: jest wyraz, charakter, życie. Widzieliście!

— Nie bywam już u Milszów. Taki krhetyn bez pojęcia, bierze się do pisania krhytyk literackich.

— Rastlerek dosiadł swego konika: iluśmy to już dzisiaj mieli krhetynów. — Skrzecki przybiegł i pocałował literata w oba policzki.

— Rastler! na Jowisza, żeńcie się jakprędzej, dajcie Francji choć z tuzin obywateli, niechże nie będzie zapełniona samymi kretynami. No, ale, chłopcy, komu w drogę, temu czas. Idziecie zalać robaka, apostole?

— Nie mogę, mam terminową robotę.

— Oho! wy mi jakoś dziś nerwowo spoglądacie na zegar; nie dałbym trzech groszy, że apostoł ma „randkę".

— Że też wam wiecznie świta w głowie.

— A kiedyż będzie świtało, jak nie dziś, kiedym młody, piękny i bogaty. Ee, z wami niema co. No, chłopcy, hajda, mamy iść, to chodźmy. Wy z nami, Rastler?

Kiedy się drzwi za nimi zamknęły, Żarski odetchnął; nie był dziś do nich zupełnie usposobiony.

Ot, ten to prawdziwie młody, pomyślał o Skrzeckim.

Mrok mżyć poczynał.

Wolno, podstępnie, przesłaniał przedmioty, zsuwał się po ścianie, z której tła wyrywał się to napis kredą skreślony, to imię, to główka kobieca, to jakoweś studjum co jaskrawsze.

Na kominku wybłyskiwać począł niepewno wielki miedziany dzban pełen pędzli, cynowa stara misa; szarawa stawała się biel modelu stopy, z zielonej draperji na ścianie dziecięca głowa Henryka IV-go majaczała niewyraźnie. Żarski czuł się niezwykle rozbity.

Rozciągnął się na otomanie z rękoma pod głową.

Dziwne, tak bardzo pragnął, żeby sobie już poszli, a teraz zaledwie odeszli, ogarnia go jakaś taka pustka. Wprost w uszach mu dzwoni cisza.

Szkoda, że nie poszedł z nimi.

Ale prawda, robota. Trzeba już raz skończyć z tą okładką do poezji Siecińskiego.

Dźwignął się leniwie, zapalił lampę z reflektorem, rozłożył na stole papier i utensylja.

Próżno się jednak biedził, głowa ciężyła,

myśli z niej uciekały, jakgdyby je wiatr rozganiał.

Zostawię na dziś, powiedział sobie i wyjdę; nie można tak bezkarnie przesiedzieć cały dzień zamkniętym w czterech ścianach pracowni.

Wstał od stołu i machinalnie począł się ubierać do wyjścia.

I naraz, z jakiegoś zakątka duszy wypełzła udręka, którejby nawet nie umiał dać nazwy.

Co mu dziś właściwie dolega?

Począł szukać w sobie.

Hela... zawód... śmieszne, nad tem już chyba dawno przeszedł do porządku dziennego.

Więc cóżby?

Czym ja czasem nie w przededniu jakiejś choroby? — załopotało w nim przerażeniem.

Człowiek z małą latareńką na tyce podszedł do latarni wprost jego okna.

Na chodnik, niby pieśń radosna, wybiegł jasny krąg światła, nasiał srebra na obumierające platany bulwaru.

Nie wiedzieć czemu, od tego światła zrobiło mu się jeszcze smutniej.

Zamknął okno, zdmuchnął lampę i wyszedł na ulicę. Przed nim zaszarzał ponury mur więzienia „La Santé” *). Przyspieszył kroku.

— Dokąd tak pędzicie? — usłyszał za sobą głos Skalskiego.

Uścisnęli się za ręce.

— Właściwie nigdzie, nie mam określonego celu! ale ilekroć mi wypadnie przechodzić koło tego przeklętego muru „La Santé”, biegnę mimowoli, żeby go ominąć jaknajprędzej; zawsze mi się wydaje, że te tragiczne, okratowane okienka patrzą na mnie z wyrzutem.

— Cóżto? Wyście je stworzyli?

— A chociaż i nie ja. Ale ja chodzę, ruszam się, oddycham swobodnie podczas, kiedy za tymi oknami setki istot ludzkich jęczą, pozbawione światła i powietrza.

— Moi drodzy, jesteście strasznie „dix huit cent trente“.

— Musi w tym być coś prawdy, bo to już dziś słyszę poraz drugi, ale to trudno. Szczególniej od czasu, kiedy „monsieur de Paris” ustanowił na nowo pod tym z samego już wyglądu ohydnym murem swoją „louisettę“, nie mogę bez dreszczu przejść około tego miejsca. Pomyślcie: toż depcę ziemię, na którą niedawno spłynęła krew ludzka.

— A toście dziś minorowo nastrojeni. Też bym się nie miał nad czem rozczulać, ale nad zbrodniarzem, którego stracono pod murem więziennym.

— Więc i wy jesteście z tych, co uważają, że z chwilą, kiedy głowa ludzka spadnie do tego okropnego kosza, sprawiedliwości staje się zadość?

— A naturalnie. Powiedzcie, co właściwie zrobić z takim szkodliwym osobnikiem? Będzie nauka dla innych. (d. c. n.)

*) Więzienie na bulwarze Arago.



SONET.

Na płaszczu królewskiego syryjskiej purpurze
Spoczywasz, by omdlała, krwawa Messalina...
Zapinka rubinowa sama się rozpina
I odsłania Twych piersi wpółrozkwitłe róże.

Żmija bioder syręnich w cudny łuk się zgina,
Dłonie cisną mi de ust napełnioną krużę,
Aż skamienisz mnie w ramion toczonych
[marmurze,
Spita dymem kadzideł i obłędem wina.

W okno cicho srebrzysty księżyc się zakrada,
Ślizgając swe promienie po mozajkach ścien-
[nych,
A czasem na Twe piersi mgła opalów spada.

I wykradasz się z sierpa klejnotów bezcen-
[nych,
Jak o „Lady Godivie“ skrzydlata ballada,
By szukać w ciemni nocy objęć moich sennych.

Stanisław Jerzy Kozłowski.

H. DE BALZAC.

2)

ŻEGNAJ.

(Z francuskiego).

— Kto taki?

— Albo ja wiem? odparł d'Albon. — Przed chwilą widziałem tu — dodał, zniżając głos — dziwną kobietę; mam wrażenie, że należy ona raczej do świata duchów, niż do świata żywych. Smukła, lekka, powiewna, prawie przezroczysta! Twarz ma białą, jak mleko, szaty, oczy i włosy — czarne. Przechodząc, spojrzała na mnie, a choć nie należę do ludzi bojaźliwych, krew zastygła mi w żyłach od jej nieruchomego i zimnego spojrzenia.

— Czy ładna? — spytał Filip.

— Doprawdy, nie wiem. Z całej twarzy widziałem tylko jej oczy.

— Niech djabli biorą obiad w Cassau! — rzekł pułkownik. Zostańmy lepiej tutaj. Bierze mnie chętka odwiedzić tę dziwną rezydencję. Spójrz na te pomalowane na czerwono daszki nad oknami, na te czerwone żyłki na drzwiach i okienicach. Czy nie masz wrażenia, że tak musi wyglądać mieszkanie djabła? Może djabeł odziedziczył ten dom po mnichach? No dalej, poszukajmy czarno-białej damy: Naprzód! — krzyknął Filip z udaną wesołością.

W tej, chwili dwaj myśliwi usłyszeli krzyk podobny do krzyku złapanego w sidła ptaka. Zaczęli się przysłuchiwać. Liście poruszonych przez kogoś krzaków zaszeleściły wśród ciszy, niby pomrukująca niespokojna fala, lecz, choć nastawiali uszu, by pochwycić jakiś jeszcze dźwięk, ziemia pozostała milcząca, jakgdyby chciała ukryć tajemnicę kroków nieznajomej — o ile istotnie ktoś tu chodził.

— Doprawdy... dziwne! rzekł Filip, idąc wzdłuż po konturach, które zakreślał mur dokoła parku.

Dwaj przyjaciele doszli wkrótce do ścieżki, prowadzącej przez las do wsi Chauvry. Krocząc tą drogą w kierunku Paryża, znaleźli się przed wielką kratą i ujrzeli fronton tego tajemniczego domostwa. Z tej strony nieład przekraczał wszelkie granice. Olbrzymie wyłomy szczerbiły ściany trzech skrzydeł pałacu. Kawały muru i gruntów pokrywały dziedziniec. Owoce spadłe z drzew gniły, nie podniesione przez nikogo. Na trawie pasła się krowa, tratując kwiaty i klomby, podczas gdy koza obgryzała winogrona i korę z drzew owocowych.

— Tu wszystko znajduje się w harmonji, i nieład jest jakby umyślnie udekorowany, — rzekł pułkownik, ciągnąc za sznur od dzwonka.

Ale dzwonek nie dzwonił... Dwaj myśliwi usłyszeli tylko dziwnie przykre zgrzytnięcie zardzewiałej sprężyny. Mała furtka, wprawiona w mur obok kraty, choć stara i zniszczona, oparła się ich wysiłkom.

— Oho, to staje się coraz ciekawsze, — rzekł Filip do towarzysza.

— Gdybym nie był sędzią, — odparł d'Albon — gotówbym podejrzewać, że ta kobieta jest wiedźmą.

Ledwo dokończył tych słów, krowa zbliżyła się do kraty i, jakgdyby stęskniona za towarzystwem ludzkiem, nadstawiła im swój pysk. Natychmiast jakaś kobieta — o ile można nazwać tem mianem nieokreślone stworzenie, które podniosło się z po za krzaku — pociągnęła krowę za sznur. Kobieta miała na głowie czerwoną chustę, z pod której wymykały się kosmyki włosów, jasnych, jak przędza na wrzecionie. Nie miała na sobie stanika. Spódnica z grubej wełny w czarne i szare pasma, o kilka cali za krótka, obnażała jej nogi. Możnaby przypuścić, że należała do jednego z tych czerwonoskórych plemion, które rozsławił Cooper, gdyż jej nogi, szyja i obnażone ramiona wyglądały, jak pomalowane na ceglasty kolor. Żaden błysk rozumu nie ożywiał jej płaskiej twarzy. W niebieskawych oczach nie tlił się ogień, były bez blasku. Kilka rzadkich, białych jak len włosków zastępowały jej brew. Wreszcie z pod warg wyzierały nierówne, lecz białe jak u psa zęby.

— Ej, kobieto! krzyknął de Sucy.

Wolnym krokiem podeszła do kraty; bezmyślnie przyglądając się myśliwym, na których widok po ustach jej przemknął się wymuszony i niewyraźny uśmiech.

— Gdzie jesteśmy? Co to za dom? Czyj? Coś ty za jedna? Czyś tutejsza?

Na wszystkie te pytania i na szereg innych, które zadawali jej kolejno dwaj przyjaciele, odpowiadała jakiemś gardłowem charczeniem, przypominającem bardziej warczenie psa, niż głos ludzki.

— Musi być głuchoniema, — rzekł sędzia.

— Bons-Hommes! krzyknęła chłopka.

— Ma rację. To zapewne dawny klasztor w Bons-Hommes, — rzekł d'Albon.

Pytania znów się posypały. Ale chłopka, jak kapryśne dziecko, rumieniła się, bawiła się swym pantoflem, szarpała sznur, zwieszający się z szyi krowy, która spokojnie szczypała trawę, spoglądała na dwóch myśliwych, przyglądała się różnym częściom jej ubrania, piszczała, warczała, mamrotała, ale nie wydawała ani jednego zrozumiałego słowa.

— Jak ci na imię? — spytał Filip, wpatrując się w nią, jakgdyby chciał oczarować ją wzrokiem.

— Genowefa, — odparła z głupkowatym śmiechem,

— Jak dotychczas, to krowa jest jeszcze najinteligentniejszem stworzeniem, jakie spotkaliśmy tutaj, — krzyknął sędzia. — Wystrzelę, to może ktoś się zjawi.

W chwili, gdy d'Albon zdejmował z ramienia strzelbę, pułkownik powstrzymał go gwałtownym ruchem, wskazując palcem nieznajomą, która tak ich zaciekawiła przed paru minutami. Kobieta owa wydawała się pogrążoną w głębokiej medytacji; wolnym krokiem przechadzała się

wzdłuż alei, tak że dwaj przyjaciele mieli czas obserwować ją. Ubrana była w czarną satynową suknię dość zniszczoną. Długie włosy spadały w splotach na czoło, na ramiona, pokrywały plecy, zastępując jej szal. Najwidoczniej była przyzwyczajona do nieładu swych włosów, gdyż zrzadka tylko usuwała kosmyki ze skroni, gwałtownym ruchem wstrząsając głową, by uwolnić oczy i twarz od tej gęstej zasłony. Przytem gest jej posiadał, zwykłą u zwierząt, zdumiewającą u kobiety, mechaniczną pewność siebie i cudowną szybkość. Dwaj myśliwi, oszołomieni, ujrzeli, jak wskoczyła na gałąź jabłoni z lekkością ptaka. Zerwała parę owoców, zjadła je, poczem zsunęła się z drzewa, z tą wdzięczną miękkością, którą podziwiamy u wiewiórek. Członki jej posiadały tak wielką zwinność, że ruchy jej wywierały wrażenie, jakgdyby czyniła je bez najlżejszego wysiłku. Zabawiała się na trawniku, toczyła się po nim, jak małe dziecko, potem, nagle, wyciągnęła przed siebie ręce i nogi i rozciągnęła się na trawie — leniwo, wdzięcznie i rozkosznie, niby kotka, drzemiąca na słońcu. Gdy w oddali zagrzmiało, nagle odwróciła się i podniosła na czworaki z cudowną zręcznością psa, który zwietrzył obcego człowieka. Dziwaczna podstawa, którą przybrała, sprawiła, że jej czarne włosy nagle przedzieliły się i opadły po obu stronach twarzy, pozwalając dwum widzom tej niezrozumiałej sceny podziwiać jej plecy, których biała skóra błyszczała, jak kwiatek na łące, oraz szyję, której subtelne linje kazały domyślać się pięknej i harmonijnej budowy kształtów.

Wydała z siebie jakiś bolesny okrzyk i zerwała się na równe nogi. A wszystkie ruchy wykonywała z taką gracją, z taką szybkością. jak gdyby była nie kobietą, lecz jedną z tych cór błękitów, które opiewa w swych poezjach Ossjan. Podeszła do jednego z strumyków, przecinających trawnik, potrząsnęła z lekka nogą, aby uwolnić ją od bucika i z widoczną lubością zanurzyła białą jak alabaster nóżkę w wodzie, wpatrując się z zachwytem w lekkie falowanie wody, które wywoływała w ten sposób. Potem uklękła, nachyliła się nad strumykiem i poczęła bawić się jak dziecko zanurzaniem swych długich warkoczy, które wyciągała od czasu do czasu, przyglądając się ciekawie kroplom wody, które spływały z nich jedna po drugiej, błyszcząc na słońcu, niby sznur pereł,

— Ależ to warjatka! — krzyknął radca,

Chrapliwy krzyk, który wydała Genowefa, a który niewątpliwie skierowany był pod adresem nieznajomej, wyrwał tę ostatnią z zamyślenia. Szybko podniosła się, odgarnęła włosy z obu stron twarzy. W tej chwili pułkownik i sędzia mogli przypatrzeć się rysom twarzy kobiety, która, ujrzawszy ich, w kilku skokach z lekkością łani podbiegła do kraty.

— Żegnaj! — rzekła głosem słodkim i harmonijnym, lecz który, mimo całej melodyjności swej, nie wyrażał żadnego uczucia, żadnej myśli.

D'Albon podziwiał jej długie rzęsy, gęste czarne brwi, cerę olśniewającej białości i bez najmniejszego śladu rumieńca. Tylko cienkie żyłki niebieskie przecinały tą białą skórę. Gdy radca wrócił się do swego towarzysza, aby podzielić się z nim wrażeniem, jakie zrobiła na nim ta dziwna kobieta, ujrzał go leżącym na trawie nieruchomo, jak trup. Wówczas wypalił z fuzji w powietrze, aby przywołać kogoś i krzyknął: „Na pomoc!“, starając się jednocześnie podnieść pułkownika. Na odgłos strzału, nieznajoma. która dotąd stała bez ruchu, uciekła z szybkością strzały, głosem rannego zwierza wydając okrzyk strachu, i poczęła krążyć po trawie z widocznemi oznakami straszliwego przerażenia. D'Albon usłyszał turkot kół na szosie, wiodącej do l'Isle — Adam, i wezwał na pomoc, wymachując nad głową chustką. Jakoż kareta natychmiast skierowała się ku Bons-Hommes, i d'Albon rozpoznał wkrótce pana i panią de Granville, swych sąsiadów. Ujrzawszy zemdlonego pułkownika, natychmiast wysiedli oni z powozu, który ofiarowali sędziemu. Pani Granville miała przy sobie wypadkowo flakonik z trzeźwiącemi solami, któremi poczęto cucić pułkownika. Gdy pułkownik otworzył oczy, zwrócił je w kierunku trawnika, po którym biegała, bez przerwy krzycząc, nieznajoma i wydał niezrozumiały dźwięk, w którym brzmiała jednak niewysłowiona zgroza; poczem zamknął znów oczy, czyniąc gest, jakgdyby prosił przyjaciela, by uwolnił go od tego widoku. Państwo Granville użyczyli radcy swego powozu, uprzejmie zapewniając go, że bardzo im będzie miło przejść się pieszo.

— Kto jest ta pani? — spytał sędzia, wskazując na nieznajomą.

— Przypuszczają, że przyjechała z Moulins. Nazywa się hrabina de Vandiéres. Mowią, że jest obłąkana, ale ponieważ jest tutaj dopiero od dwuch miesięcy, nie ręczę za prawdziwość tych pogłosek.

D'Albon podziękował państwu de Granville i ruszył do Cassan.

— To ona! — krzyknął pułkownik, odzyskawszy zmysły.

— Kto taki? — spytał d'Albon.

— Stefanja... Och, żywa i umarła, żywa i obłąkana!.. myślałem, że skonam.

Ostrożny sędzia ocenił niebezpieczeństwo ataku, który wstrząsnął jego przyjacielem, więc obawiał się wypytywać go i niepokoić. Chciał czemprędzej dostać się do pałacu, gdyż gwałtowna zmiana w rysach twarzy i zachowaniu się pułkownika kazała mu lękać się, że hrabina zaraziła Filipa swą straszną chorobą. Gdy tylko dojechał do szosy, wiodącej do l'Isle-Adam posłał służącego do miasta po doktora, tak że, skoro tylko pułkownik znalazł się w łóżku, doktór przybył i zajął się nim.

— Gdyby nie to, że pułkownik był prawie naczczo, jużby nie żył. Uratowało go zmęczenie.

Wskazawszy główne środki ostrożności, które należało zachować, wyszedł, aby przyrządzić uspakajające lekarstwo. Nazajutrz rano de Sucy czuł się lepiej, lecz mimo to lekarz czuwał nad nim i nadal.

— Przyznam się panu, panie margrabio — rzekł doktór do d'Albona, że obawiałem się porażenia mózgu. Pan de Sucy musiał doznać niezwykle silnego wstrząśnienia. Należy on do natur silnie reagujących, ale pierwsze wstrząśnienie jest u niego decydujące. Jutro będzie już zapewne zdrów.

Lekarz nie omylił się. Nazajutrz mógł już dopuścić sędziego do łoża pacjenta.

— Kochany przyjacielu, — rzekł Filip, ściskając dłoń radcy. — Oczekuję od ciebie przysługi! Jedź czemprędzej do Bons-Hommes! dowiedz się wszystkiego o tej kobiecie i powracaj natychmiast, bo będę tu, jak na rozżarzonych węglach.

D'Albon siadł na konia i popędził galopem do starego klasztoru. Przybywszy tam, ujrzał przed kratą wysokiego, chudego mężczyznę, którego twarz wyrażała uprzejmość i który, na pytanie, czy to on zamieszkuje ten zniszczony dom odparł twierdząco. D'Albon opowiedział mu o celu swej wizyty.

— Ah, panie! — krzyknął nieznajomy. — Więc to pan wystrzelił tak niefortunnie z fuzji? O mało nie zabił pan mej biednej chorej!

— Ależ panie! Strzelałem w powietrze.

— Nie wyrządziłby pan hrabinie większej krzywdy, gdybyś pan strzelał do niej.

— Ha! nie mamy sobie nic do zarzucenia, gdyż widok pańskiej hrabiny o mało nie zabił mego przyjaciela, pana de Sucy.

— Czy nie barona Filipa? — krzyknął lekarz, załamując ręce. — Tego, który był w Rosji podczas przeprawy przez Berezynę?

— Tak jest, — odparł d'Albon. Został schwytany przez kozaków i wysłany na Syberję, zkąd wrócił przed jedenastu miesiącami.

— Proszę, niech pan wejdzie, — rzekł nieznajomy. wprowadzając sedziego do salonu, położonego na parterze i noszącego widoczne ślady kapryśnego niszczycielstwa.

Drogie porcelanowe wazy stały poszczerbione lub rozbite obok zegara, którego szafka była nienaruszona. Jedwabne firanki u okien były podarte, podczas gdy firanki muślinowe były nietknięte.

— Widzi pan — rzekł nieznajomy — jakich szkód narobiła ta piękna kobieta, dla której poświęciłem się. To moja siostrzenica. Pomimo niemocy sztuki lekarskiej, spodziewam się przywrócić jej kiedyś rozsądek, probując pewnej metody, której zastosowanie dostępne jest, niestety tylko bogaczom.

Potem długo, szczegółowo — jak to czynią zwykle ludzie, żyjący w samotności, szarpani ciągłym bólem — opowiadał sędziemu smutną historję, którą przytaczamy poniżej, wyłuskwioną z dodatków i uwag, które czynili co chwila opowiadający i jego słuchacz.

* * *

Opuszczając o dziewiątej wieczorem wzgórza Studzianki, których bronił przez cały dzień 28 listopada 1812 roku, marszałek Viktor, pozostawił tysiąc ludzi. Polecił im bronić do ostatniej chwili jedynego z zbudowanych na Berezynie mostów, który trzymał się jeszcze. Arjergarda ta poświęciła się, aby ocalić olbrzymią ilość napół zamarzłych maruderów, którzy, pomimo licznych rozkazów, nie chcieli ani rusz opuścić obozu. Bohaterstwo tego szlachetnego hufca na nic się nie zdało. Żołnierze, napływający chmarami ku brzegom Berezyny, znajdowali tam, na swe nieszczęście, olbrzymią ilość wozów, skrzyń i mebli, które armja zmuszona była porzucić podczas przeprawy przez rzekę. Stawszy się nieoczekiwanie posiadaczami takich bogactw, nieszczęśliwcy ci, osłupiali z mrozu, ulokowali się na opuszczonych biwakach, łamali wozy i karoce, aby wybudować sobie szałasy, rozpalali stosy ze wszystkiego co wpadło im pod rękę, krajali na kawałki konie, aby zaspokoić piekielny głód, zdzierali z wozów płótno, z karet sukno, aby się przykryć, i spali, zamiast iść przed siebie i spokojnie przeprawić się nocą przez tą Berezynę, z której okrute przeznaczenie uczyniło grób dla połowy armji. Ten tylko zrozumieć może apatję tych biednych żołnierzy, kto sam przebył owe olbrzymie pustynie śnieżne mając jedyny napój — śnieg, jedyna pościel i łoże — śnieg, jedyną perspektywą — śniegów, jedyne pożywienie — śnieg i trochę zamarzłych buraków, zrzadka — garść mąki lub kawałek koniny. Konając z głodu, z pragnienia, z wyczerpania i bezsenności, nieszczęśliwcy nagle przybywali na brzeg rzeki, gdzie znajdowali drzewo, ogień, prowiant, niezliczoną ilość porzuconych wozów i karet, biwaki, jednem słowem— zaimprowizowane miasto. Wieś Studziankę najzupełniej zniszczono, podzielono, rozebrano i przeniesiono ze wzgórza na równinę. Więc choć pobyt w tem zaimprowizowanem mieście był niebezpieczny i nędzny, jego nędza i niebezpieczeństwo uśmiechały się ludziom, którzy przez tak długi czas widzieli przed sobą tylko stepy i śnieżne pustynie rosyjskie.

Był to więc olbrzymi szpital, który istniał zaledwie dwadzieścia godzin. Znużenie życiem lub dawno zapomniane uczucie dobrobytu uczyniły tę masę ludzką dostępną jednemu tylko pragnieniu—wypoczynku. Choć z lewego skrzydła rosyjskiego artylerja strzelała bez przerwy do tej masy, która odcinała się na białem tle śniegów to czarną, to płomienną plamą, — olbrzymi tłum nie zwracał na te niezmordowane pociski najmniejszej uwagi. Lekceważono gromy tej burzy, gdyż dosięgały one tylko konających, chorych, lub nawet umarłych. Co chwila napływały nowe grzęzy ciurów, nowe grzęzy poruszających się trupów. Natychmiast rozpadały się, tułając od ogniska do ogniska, żebrząc o przytułek. Potem, odepchnięci zewsząd, znów gromadzili się, aby wymódz siłą gościnność, której nie chciano im ofiarować dobrowolnie. Głusi na przestrogi kilku oficerów, którzy zapowiadali im niechybną zgubę, jeśli nie przeprawią się na drugi brzeg, niezbędną do przeprawy sumę energji woleli wyładować na zbudowanie znośnego schroniska na noc, na przyrządzenie posiłku, który przeważnie zabijał ich.

Oczekująca ich śmierć nie wydawała im się straszna, skoro poprzedzała ją godzina wytchnie-

nia, snu. Złem nazywali tylko głód, pragnienie, chłód, ale nie śmierć. Gdy zabrakło drzewa, ognia, płótna, sukna i biwaków rozpoczęły się mordercze walki między wynędzniałym i przybyszami a „bogaczami", którzy przyszli wcześniej i zajęli jakiś szałas. Słabsi padli w tej walce.

Ostatni przybysze spędzeni tu ogniem dział rosyjskich, znaleźli już tylko śnieg, jako leże. I położyli się na śniegu, aby więcej nie powstać. Stopniowo ta wynędzniała masa ludzka stała się tak gęsta, tak głucha, opłupiała, a może szczęśliwa, że marszałek Wiktor, który był jej bohaterskim obrońcą i opierał się dwudziestu tysiącom Rosjan pod wodzą Witgensteina, musiał przerzynać się gwałtem, z bronią w ręku, przez ten las ludzi, aby przeprowadzić przez Berezynę pięć tysięcy zuchów, których przyprowadzał cesarzowi. A ci nieszczęśnicy pozwalali się deptać, lecz nie ruszali się z miejsca i ginęli w milczeniu, usmiechając się do swych gasnących ognisk, nie myśląc o Francji.

Dopiero o dziesiątej wieczorem książę de Bellune znalazł się na drugim brzegu rzeki. Nim ruszył przez most wiodący do Zembina, polecił opiekę nad arjergardą w Studziance Eblémowi, temu zbawcy wszystkich tych, którzy przeżyli katastrofę pod Berezyną. Około północy wielki ten generał w towarzystwie pełnego odwagi oficera opuścił chatkę którą zajmował obok mostu, i począł obserwować obóz położony między brzegiem Berezyny a drogą z Borysowa do Studzianki. Armaty rosyjskie przestały grzmieć. Niezliczone ognie, który bladły wśród tego morza śniegów i, zda się, nie rzucały nawet blasku, oświetlały gdzieniegdzie postaci, nie mające w sobie nic ludzkiego. Biedacy w liczbie około trzydziestu tysięcy ludzi, należących do wszystkich narodów, które Napoleon rzucił na Rosję, zalegli równinę, z bezgraniczną obojętnością narażając swe życie.

— Ocalmy ich, — rzekł generał do oficera. Jutro rano Rosjanie zawładną Studzianką i trzeba będzie spalić most, skoro tylko ukażą się. A więc, przyjacielu, odwagi! Przebij się przez tę ciżbę aż na wzgórze. Powiedz generałowi Fournier, że ma zaledwie trochę czasu na opuszczenie pozycji, przebicie się przez cały ten tłum i przejście przez most. Kiedy zobaczysz, że wyruszył, pójdziesz za nim. Weź do pomocy kilku ludzi i spal bez litości biwaki, wozy, skrzynie, karoce, wszystko! A tych biedaków spędź na most! Każdego, kto ma duże nogi zmuś do ucieczki na drugi brzeg. Teraz jedyny nasz ratunek w ogniu. Gdyby Berthier pozwolił mi spalić ten przeklęty obóz, rzeka nie pochłonęłaby nikogo, prócz moich biednych saperów, tych pięćdziesięciu bohaterów, którzy ocalili armję a o których nikt pamiętać nie będzie.

Generał powiódł ręką po czole i umilkł. Jakiś głos zewnętrzny mówił mu w tej chwili, że Polska będzie jego grobem. Wciąż powracał myślą do swych ludzi i bolał, że nie będzie mógł zaświadczyć we Francji o bohaterstwie tych saperów, którzy przez długie godziny stali w wodzie, w wodzie Berezyny, ustawiając rusztowania mostu. Jeden tylko z pośród nich ocalał, a właściwie: cierpiał, może dogorywał w jakiejś nieznanej wiosce! Adjutant ruszył kłusem. Zaledwie mężny ten oficer zdążył zrobić sto kroków w kierunku Studzianki, już generał obudził kilku chorych saperów i rozpoczął swe dzieło ratunku, paląc biwaki rozłożone dokoła mostu i zmuszając w ten sposób śpiochów do przejścia przez most. W tym czasie młody adjutant przedostał się z trudem do drewnianego domku w Studziance, który pozostał na miejscu.

— Zapewne, towarzyszu, barak jest przepełniony? rzekł do człowieka, którego spostrzegł przed drzwiami domu.

— Dokaże pan cudu, jeżeli uda się panu tam dostać, — odparł oficer, nie odwracając głowy i rąbiąc szablą drewnianą ścianę.

— To ty, Filipie? — rzekł adjutant, poznawszy po głosie jednego ze swych przyjaciół.

— A... to ty, mój kochany, — odparł de Sucy, przyjrzawszy się adjutantowi, który, tak samo jak on, liczył zaledwie dwadzieścia trzy lata. — Myslałem, że jesteś już po drugiej stronie tej przeklętej rzeki. Może przynosisz nam ciastka i konfitury na deser? Będą ci tu bardzo wdzięczni, — dodał i zrąbał z drewnianej ściany nieco kory, którą dawał, jako przysmak swemu koniowi.

— Szukam waszego dowódcy, aby ostrzedz go w imieniu generała Eblé, że ma, nie zwlekając, umykać do Zembina.

Macie akurat tyle czasu, ile trzeba, aby przerznąć się przez tę masę trupów, którą zaraz podpalę, aby ją poruszyć z miejsca...

— Doprawdy, udało ci się mnie rozgrzać! Ażem się spocił dzięki twojej wiadomości. Mam dwoje przyjaciół do uratowania! Ach, gdyby nie ta para śpiochów, dawno już nie żyłbym. Dla nich trzymam konia, zamiast zjeść go. Na litość boską, może masz coś do zjedzenia? Już od trzydziestu godzin nic nie wrzuciłem do żołądka, a walczę jak wściekły, aby zachować te trochę ciepła i odwagi, które mi pozostały. (d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ 7.—	„ 3.50	„ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ 10.—	„ 5.—	„ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane**, w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3** str. okładki 20 k. **Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się **na** petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.

MIODOWY MIESIĄC

KOMEDJA W TRZECH AKTACH

przez ARNOLDA BENNETA.

Przedstawiona po raz pierwszy 6 października 1911 roku w Royalty-Teatrze w Londynie, pod dyrekcją Diona Boucicaulta, z Marją Tempest w roli Flory, Grahamem Browne w roli Cedrica, Kate Serjeantsen w roli pani Haslam, Berte Thomasem w roli Biskupa, Dennisem Edie w roli Frampingtona, i Basilem Hallam w roli Karola. Reżyser Boucicault grał rolę pana Haslam.

Wystawiona w Warszawie w Teatrze Polskim w środę dn. 9 kwietnia 1913 r.

OSOBY.

FLORA LLOYD. — Wdowa, lat 28.
PANI REACH HASLAM. — Powieściopisarka lat 56.
PAN REACH HASLAM. — Jej małżonek, lat 58.
CEDRIC HASLAM. — Ich starszy syn, lat 32.
KAROL HASLAM. — Ich młodszy syn, lat 22.
BISKUP Z COLCHESTER. — Lat 55.
FRAMPINGTON. — Lat 32.
GASTON. — Kelner z Szwajcarji, lat 23.
CUTHBERT. — Kamerdyner pani Haslam.

FLORA LLOYD. Piękna, wytworna, pełna wdzięku, w stopniu możliwie najwyższym. Te jej zalety stanowią oś całej sztuki.

CEDRIC HASLAM. Słynny awiator. Typowy milczący anglik. Pełen pomysłów. Wynalazca. Bardzo panuje nad sobą, ale zdolny do porywów namiętności. Uparty, z ogromną siłą charakteru. Jego ruchy, gesty, i słowa mają cechę powolnego lenistwa, ale równocześnie męskiej siły i szorstkości, która wywiera szczególny urok na takie kobiety, jak Flora. Z zachowania się jego niktby nie poznał, że ma wszechświatową sławę.

KAROL HASLAM. Bardzo młodzieńczy. Impulsywny. Zajęty bardzo sobą, ale bardzo przyjemny.

PANI REACH HASLAM. Majestatyczna. Strojnie ubrana. Jedna z najpopularniejszych powieściopisarek w Anglji i w Ameryce. Jej nazwisko jest wszystkim znane. Niema

najmniejszego poczucia humoru. Nie jest jednak bynajmniej głupia, i roli tej nie trzeba bynajmniej traktować farsowo. W sztuce tej ukazuje się tylko ze swojej najmniej sympatycznej strony.

PAN REACH HASLAM. Mąż sławnej kobiety. Ma dużo poczucia sardonicznego humoru, co jednak rzadko ma sposobność pokazywać; zawsze nadzwyczaj grzeczny i nawet uprzedzająco uprzejmy dla swojej żony; dba jednak o swoją godność. Trochę wymuszony, suchy, sztywny.

GASTON. Podobnych Gastonów jest bardzo wielu w hotelach i restauracjach na West End. Nie powinien się odróżniać od typu.

BISKUP Z COLCHESTER. Nieżonaty. Typowy biskup, który mimo, iż skłonność jego umysłu jest reakcyjna, ma o sobie przeświadczenie, że jest człowiekiem nawskroś współczesnym i że idzie naprzód z postępem czasu. Niema rzeczywistych zalet inteligencji, ale jest energiczny i przystosowuje się łatwo.

FRAMPIGTON. Łagodny młodzieniec, z doskonałemi manierami i niewzruszoną zimną krwią. Osobistość pełna prostoty, o niezmiernej intellektualnej i duchowej oryginalności. Sobie samemu nie wydaje się bynajmniej osobliwym, ale poprostu naturalnym.

CUTHBERT. Kamerdyner zupełnie współczesny. Autor nie życzyłby sobie, aby ta nieznaczna rola była wykonana przez konwencjonalnego zawodowego specjalistę od kamerdynerów. Wolałby już, aby pojawił się na scenie prawdziwy, rzeczywisty, zawodowy kamerdyner.

AKT PIERWSZY.

Sitting-room w jednym hotelu małego ustronia nadmorskiego w Essex. Stare meble wiktorjańskiego gustu; ogólny efekt malowniczy. Kilka drobiazgów współczesnych; naprzykład: na ścianie w ramach wielkie artystycznie kolorowe ogłoszenie artykułów pneumatycznych.

Drzwi na prawo prowadzą do Hallu, do głównego wejścia i w stronę kuchni.

Drzwi na lewo prowadzą przez przedsionek do ogrodu, W tyle wielkie okno podzielone na trzy części w kamiennej oprawie: szyby są małe; jedna z części okna jest otwarta, inne są zamknięte.

Przez okno widok na ogród, w oddali morze. Kominka nie widać.

Cedric i Flora siedzą przy stole zastawionym herbatą. Jest czerwcowe popołudnie. Świeci słońce.

Flora. Nalać jeszcze herbaty? (Cedric, wpatrzony w nią, nie daje odpowiedzi). Cedric! Pytam się, nalać jeszcze herbaty? (Gest wesołej niecierpliwości).

(Cedric wstaje, zbliża się do niej, okrążając stół; obejmuje i całuje).

Cedric (Stojąc nad Florą, wpatrzoną w niego. Z uśmiechem). Od pół godziny miałem już na to ogromną ochotę.

Flora. Więc czemu namyślałeś się tak długo, mój drogi? (Cedric czyni gest, tłómaczący, że nie wie dlaczego)... I mieliśmy oboje czekać tak długo (oblicza w myślach) przecież to już okrągłe trzy godziny od chwili, jak pocałowałeś mnie w zakrystji.

Cedric. Ach to się nie liczy. Nieznośna ta zakrystja. Tutaj chciałbym cię zupełnie inaczej całować (pochyla się do jej ucha i całuje ją przeciągle).

Flora. Moje ucho!

Ceric. Tak, tak... Twoje uszko... Jakie to dziwne... A mógłbym ci powiedzieć jeszcze coś dziwniejszego. Czy mogę? (potwierdzające skinienie Flory). Czy wiesz, że kiedy przed chwilą pochylałem się nad tobą, doznałem takiego uczucia, jakgdybym chciał cię zabić. Naprawdę, Fluff! Ogarnęło mię to tak nagle. Wiesz — jakgdyby ktoś wychylał się z wysokiego balkonu i czuł, że musi runąć—o tak, takie właśnie miałem wrażenie.

Flora. Jakiż to szczególny rodzaj zabójstwa przychodził ci do głowy?

Cedric (Z wybuchem). O, myślałem o jakiemś dzikiem zduszeniu! (Flora uśmiechnęła się). Czy możesz to zrozumieć?

Flora. Niezupełnie... Dopóki nie wiem dokładnie, co mi grozi.

Cedric (Po krótkiej chwili wpatrywania się

w nią z miłością, z wyrazem silnego przekonania). Będzie nam dobrze z sobą.

Flora. O tak. Dobrze, że już się to stało, bo doprawdy... (obraca pierścionek na palcu).

Cedric. Doprawdy co?

Flora. Doprawdy, nerwy nasze były narażone na ciężką próbę (opuszcza rękę).

Cedric (Wraca na swoje miejsce i mówi jakby do siebie) Tak, a teraz narażone są na jeszcze większą.

Flora (Podejmując zupełnie ten sam ton, w jakim postawiła pierwsze pytanie sceny). Nalać jeszcze herbaty?

Cedric (W tym samym tonie). A ile filiżanek już wypiłem?

Flora. Nie wiem, najdroższy.

Cedric. Chyba będzie już dosyć.

Flora. A więc... powróćmy do naszego programu. Musimy wreszcie coś postanowić.

Cedric. Bardzo dobrze (siada).

Flora. Zdaje mi się, że to doskonała idea puścić się w podróż bez żadnego programu. Niech nawet niebiosa nie zgadną, gdzie będziemy od dziś za tydzień.

Cedric. Proszę jednak o pozwolenie zawiadomienia niebios, że w każdym razie nie będzie nas już tutaj.

Flora. Jakto? Już ci się naprzykrzyła ta miejscowość?

Cedric. Nie, tu bardzo miło. Ale tu jest doprawdy zaciasno dla dwojga ludzi odchodzących prosto od ołtarza. Jeden hotel, jeden maszt z flagą, jeden statek, jedno morze. Nie ma tu ani plaży, ani kawiarni, ani koncertu; tu nawet chyba miesiąc nie świeci.

Flora. Nie! to nie do pojęcia, jak trzy godziny małżeństwa mogą zmienić mężczyznę! Ty, który tak przepadałeś za spokojem, samotnością, wygodą, codziennem flanelowem ubraniem i tak dalej!

Cedric. Proszę nie żartować, Fluff! Program miodowego miesiąca—to rzecz niezmiernie ważna. Bo... (zatrzymuje się z wahaniem).

Flora (Z wdzięcznym skinieniem głowy). Proszę rozmawiać ze mną tak, jak bym była mężczyzną.

Cedric. Miałem zawsze swoją własną teorję o miodowych miesiącach. Nie mówiąc już o nierozsądnym tłumie, jest jedno wielkie częste nieporozumienie, co do miodowego miesiąca... Samotność, tak, oczywiście! Ale gdziekolwiek się jest, jeżeli się przeżywa miesiąc miodowy, ma się samotności tyle, ile jej potrzeba każdego dnia. Ciągła zmiana i ciągła rozrywka: oto o czem trzeba pomyśleć. Samotność znajdzie się sama przez się.

Flora. Wiesz, że nie spodziewałam się tego po tobie.

Cedric (Spiesznie, broniąc się). Ach, to tylko teorja. Nie mam wcale praktycznego doświadczenia w tym kierunku; najchętniej zostosuję się do wszystkiego, co zechcesz. Proszę mi wierzyć! nie przywiązuję do tego żadnej wagi; może się mylę! jeżeli tylko — —

Flora (Uroczyście). Nie, nie mylisz się wcale. Masz zupełną, straszliwą słuszność!

Cedric (Wpatrując się w nią z wyrazem przekonania), Będzie nam z sobą dobrze. — —Jestem zupełnie tego pewny. Tutaj może być wyśmienicie na początek, ale przypuszczam, że za kilka dni już tu nie wytrzymamy.

Flora. Nigdy nie przypuszczałam — — doprawdy nigdy, żeby jakikolwiek mężczyzna mógł być tak przezornie przewidujący. No i przytem... ta... odwaga...

Cedric. Powiedz raczej, bezwstyd. Cóż! trzeba się liczyć z nerwami. A więc to postanowione? Wyjeżdżamy?

Flora. Idzie tylko o to, gdzie.

Cedric. Proszę rozkazywać.

Flora (Promieniejąco). Gdziekolwiek przed siebie.

Cedric. Więc może Paryż?

Flora. O! tylko nie Paryż!

Cedric. Dlaczego?

Flora. Dlatego, że będziemy poprostu rozrywani przez tłum. Czy mój miły pan słyszał co kiedy o naiwności genjuszów?

Cedric. Czytałem o tem coś niecoś, zdaje mi się w czasopismach redagowanych przez damy.

Flora. Nie zdasz sobie nigdy z tego dokładnie sprawy, bo jesteś dotknięty tem cierpieniem w sposób bardzo ostry.

Cedric. I pomyśleć, że przez tyle lat uważałem się raczej za człowieka bardzo chytrego.

Flora. Czy wiesz, ile twoich portretów naliczyłam w tegorocznych tygodnikach? Tylko sto czerdzieści sześć. I to nie licząc tych ilustracji, które cię przedstawiały w aeroplanie na takiej wysokości, że wyglądałeś jak mucha w pułapce na myszy.

Cedric. W mojej naiwności myślałem dotąd zawsze, że najprostszy sposób, żeby nie być rozpoznanym na ulicy — — to mieć swój portret w gazetach.

Flora. A przytem, trzeba się liczyć z twojem podobieństwem do matki. Sprzedano do wczoraj sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy ostatniej powieści twej kochanej matki — — czytałam o tem w „Telegrafie“. A dzisiaj właśnie wydała nową powieść.

Cedric. To też wcale nie myślę o tem, abyśmy mieli spędzać nasz miesiąc miodowy na Piccadilly, mój słodki skarbie; mówiłem o Paryżu.

Flora. Cały Londyn będzie w Paryżu.

Cedric. Kiedy — — w przyszłym tygodniu.

Flora. Niema takiego tygodnia, w którym cały Londyn nie siedziałby w Paryżu. Pozwól mi zapytać się: najdroższy, czy byłeś kiedy w Paryżu — — naturalnie w tych czasach—już po potopie?

Cedric. Naturalnie. Biegłość moja w orjentowaniu się po okropnych biurach towarowych wielkich dworców paryskich jest godna podziwu.

Flora. Gdybyś był jednak zajrzał poza obręb dworców, przekonałbyś się, że Paryż jest obecnie zamieszkany wyłącznie przez miłą szanowną ludność z Londynu i miłą szanowną ludność z Arizony; i że jeżeli ludność ta nie zadziera podbródków, aby patrzeć na aeroplany, z pewnością doskonali swoje umysły ostatnią powieścią twojej kochanej matki.

Cedric (Z żartobliwą powagą). Doprawdy, nie miałem o tem wszystkiem pojęcia.

Flora. Wiesz co? nie pomyślałam o tem— — moglibyśmy pojechać do Paryża pod przybranem nazwiskiem.

Cedric. O, nie.

Flora. Czemu nie? to byłoby zabawne!

Cedric. Podróżować pod przybranem nazwiskiem? — — nie mogę sobie tego wyobrazić. Jestem może na to zanadto anglikiem.

Flora. A ja nie mogę sobie wyobrazić siebie w Paryżu, jako małżonkę najsłynniejszego angielskiego awjatora i jako synową najsłynniejszej angielskiej powieściopisarki (gest charakterystyczny). Powtarzam, że będziemy rozchwytywani przez tłum. A to wyrażenie nie oddaje jeszcze całej grozy sytuacji.

Cedric (Wpatrzony w Florę). Musiałaś zauważyć, że nie jestem skłonny do porywów. Miesiącami całemi nie używam ani jednego superlatywu, ale doprawdy, marzenie moje najsłodsze, jesteś w tej chwili cudniejsza niż kiedykolwiek, wprost niewypowiedzianie urocza. Twoja piękność, twój wdzięk, twój czar dostojny — — (zmieniając ton). Nie, nie! nie umiem mówić słowami ekstazy... Jeżeli wspomniałem o Paryżu, to tylko dlatego, że matka pytała się, czy tam nie pojedziemy; odpowiedziałem jej, że bardzo być może.

Flora. Jakto? czy i ona tam będzie?

Cedric. Nie, nie. Mówiła tylko, że gdybyśmy tam byli, zależałoby jej na tem, abym porachował szyby w latarniach na moście Aleksandra III-go. Domyślasz się: to realistyczny szczegół potrzebny do jej nowej powieści. Bohater, po jakimś fatalnie spędzonym wieczorze, patrzeć ma bezmyślnie na te latarnie... Liczyła, że jej w tem dopomogę.

Flora. Przecież to chyba jeszcze nie powód, żebyśmy dlatego właśnie jechali do Paryża. Twoja kochana matka może także chcieć się dowiedzieć, ile jest drutów w parasolu króla Sjamskiego. — — Czy dlatego mamy podróżować aż do Bangkoku?

Cedric. Ja tylko — —

Flora. Mój panie małżonku, muszę ci opowiedzieć coś o twojej matce. Dotychczas nie chciałam ci o tem mówić. Czy wiesz dlaczego porzuciła swój straszny projekt odbycia naszego ślubu w katedrze, w asystencji biskupa, w otoczeniu prasy całej Europy?

Cedric. Przypuszczałem, że głos naszych aniołów stróżów przemówił za nami i ubłagał jej zmiłowanie.

Flora. Otóż nie. Musiałam się uciec do pogróżki. Odbyłam z nią małą dyskusję poufną, wtedy właśnie kiedy byłeś w Blackpool. Właśnie miała iść zapraszać biskupa. Powiedziałam jej bardzo grzecznie, że jeśli nie pozwoli nam wziąć ślubu przed wikarym w Colchester, tylko wobecności jej samej, twojego ojca i Charlika, i jeśli nie zgodzi się, aby wiadomość o tem pojawiła się w dziennikach dopiero po dwóch tygodniach, zażądam, ażebyśmy wzięli tylko ślub cywilny.

Cedric. Szatański pomysł. No i cóż matka na to?

Flora. Powiedziała mi tylko: „Naturalnie, życzeniu pani musimy być powolni, droga pani Lloyd". Ale następnego dnia mówiła już do mnie tak jak zwykle: „Floro".

Cedric. Wyobrażam sobie, co się z nią działo!

Flora (Śmiejąc się). W twoim głosie słychać przerażenie. Można jednak poradzić sobie z nią. Tylko trzeba umieć wziąć się do tego.

Cedric. Miałem i ja z nią dość ciężką przeprawę, wtedy, kiedy postanowiłem oddać się swemu zawodowi; ale wogóle moje stosunki z matką są bardzo dobre.

Flora. Moje tak samo. Właśnie dlatego, że są dobre, mieliśmy dzisiaj wikarego zamiast biskupa. Sympatyczny był nasz wikary, nieprawdaż?

Cedric. Trochę mi wyglądał na dziwoląga.

Flora. Oni wszyscy są trochę dziwaczni. Podobał mi się jednak, bo kiedy kazał mi się podpisać moim dawnym nazwiskiem nie powiedział uroczystego (naśladując ton wikarego) „po raz ostatni". Oni zawsze to mówią. Według nich, to należy do ceremonji. Gdyby to był powiedział, jęknęłabym chyba głośno.

Cedric. Więc moja pani miała przedemną sekrety? — przez kilka tygodni prowadziła coś nakształt podwójnego życia? — i dlaczegóż to w tym właśnie momencie tajemnica została ujawniona?

Flora. O, prosty kaprys mój drogi. Przypomniałam to sobie właśnie teraz. Oto wszystko.

Cedric (cokolwiek zmieszany). Zdaje ci się zatem, że moralne panowanie mojej matki nad jej rodziną i nad publicznością Wielkiej Brytanji

może być cokolwiek zachwiane bez wielkiej straty w życiu ludzkiem?

Flora. Cedricu, (Cedric patrzy na nią wzrokiem pytającym) powiedz mi, co jest najrzadszą rzeczą w świecie?... Tylko prędko.

Cedric. Naturalnie zdrowy rozsądek.

Flora. O dobrze! bałam się, że powiesz: dobrze ugotowany kartofel.

Cedric. Już chyba znasz mnie zbyt dobrze, żeby przypuszczać, że odpowiem coś podobnego.

Flora. Ależ my dopiero teraz zaczynamy siebie trochę nawzajem poznawać.

Cedric. To prawda. Ale skądże ty wiesz już o tem, że zdrowy rozsądek jest najrzadszą rzeczą na świecie?

Flora. Dlatego, że sama mam go doprawdy bardzo mało, a nawet tę odrobinę jaką mam, nabywałam bardzo powoli. Wszak mówiłam ci zresztą, mój drogi, że nasze małżeństwo nie jest bynajmniej podobne do zwykłych małżeństw — tak mi się przynajmniej naprawdę zdaje.

Cedric. Nie mówiłeś mi tego bardzo wyraźnie, ale pozwalałeś mi podejrzewać, że tak jest w istocie.

Flora. Większa część małżeństw, a zwłaszcza większa część miodowych miesięcy, nie udaje się poprostu dlatego, że ci, którzy je tworzą, nie zużywają swojej szczypty zdrowego rozsądku na rozpatrzenie problemów, które (nieco żartobliwie) ciągle powstają... (śmieje się). Co do mnie mam postanowienie utrzymywać swój zasób zdrowego rozsądku w dobrym stanie przez ciągłe ćwiczenie. Stale stosowany zdrowy rozsądek, rozwiąże dużo problemów.

Cedric (dobitnie). Niewątpliwie rozwiąże. (po chwili). Zawsze jednak z zastrzeżeniem.

Flora (zdziwiona). Z zastrzeżeniem?

Cedric. Do tych uwag o sztuce życia niech mi wolno jeszcze jedno dorzucić. Zdrowy rozsądek rozwiąże dużo problemów — o bardzo dużo, — zawsze jednak z zastrzeżeniem, że będzie nierozdzielnie złączony z uprzejmością, Przez długą i urozmaiconą karjerę mojego kawalerstwa, droga małżonko (ton żartobliwy), zauważyłem, że małżeństwo jest zazwyczaj grobem grzeczności pomiędzy mężczyzną a kobietą. Zauważyłem, że im silniejsza jest namiętność, tym gorsze maniery. Otóż według mojej teorji, grzeczność zamiast się zmniejszać w miarę poufałości— powinna by się zwiększać. A jeśli mówię „grzeczność", mam na myśli zwykłą zewnętrzną uprzejmość. Nie chodzi mi o to głębokie tło duszy, które można wyczuć tylko przez laskę czarnoksięską... Zdaje mi się, że chcesz coś powiedzieć?

Flora. Mój Cedricu! (impulsywnie idzie do niego i całuje go). Jak rozumne jest to, co ty mówisz! Myślałam o tem lata całe. Trzeba już teraz tylko połączyć zdrowy rozsądek z naszym programem. Otóż byłoby to może nie bardzo zgodne ze zdrowym rozsądkiem, gdybyśmy zaczęli od sprzeciwiania się twojej matce. Jeżeli naprawdę sądzisz, że matka twoja czułaby się dotknięta, gdybyśmy nie pojechali do Paryża, pojadę tam naturalnie z rozkoszą. Możemy tam wpaść tylko poto, żeby zobaczyć lampę na moście Aleksandra III-go — a potem zaraz uciec stamtąd.

Cedric. O nie, nie.,. Przecież matce znowuż tak bardzo zależeć na tem nie może.

Flora. Tem lepiej. Wiesz, że miałam maleńką ochotę odwiedzenia Ostendy. Stamtąd pojedziemy expressem do Budapesztu. Umieram z chęci poznania Węgier, poprostu umieram!

Cedric. Życie twoje, mój skarbie, musi być ocalone choćby niewiedzieć jakim kosztem.

Flora. O, ja chcę, żeby nasz miesiąc miodowy był bardzo kosztowny. Nie dlatego, żebym była bardzo rozrzutna, ale dlatego, że kwestję miodowego miesiąca uważam za rzecz uroczystą i ważną.

Cedric. To symbol.

Flora. A tak, symbol. I dlatego powinien kosztować stosownie do swego znaczenia.

Cedric. Dziewiętnaście tysięcy funtów szterlingów z okładem leży złożonych w depozycie mojego banku na listy kredytowe do podniesienia w każdem większem mieście Europy. Jeśli to wydamy, druga taka sama suma złożona będzie bez trudności.

Flora. Ale to ułożone, Cedricu?... Przez cały nasz miesiąc miodowy niema mowy o awiatyce?

Cedric. Ależ naturalnie.

Flora. I to przez cały pełny miesiąc, rzecz prosta!

Cedric. Pełny kalendarzowy miesiąc, bez zostawienia nikomu naszego adresu.

Flora (westchnienie radości). A więc mówisz, że tutaj—dwa albo trzy dni.

Cedric. Zdaje mi się, że to zupełnie dosyć.

Flora. O zupełnie. Ucieknierny stąd, zanim ktokolwiek będzie miał czas wyśledzić nas tutaj—(urywając nagle). Czy nie sądzisz najdroższy, że możemy już odejść do swojego pokoju.

Cedric. Cudownie. Zachowywaliśmy się wzorowo. Nikt się tu nie mógł domyślić, że nie jesteśmy małżeństwem od urodzenia. Jestem z tego dumny—za nas oboje.

(Wchodzi Gaston drzwiami z prawej strony).

Gaston. Pozwolą państwo sprzątnąć ze stołu. (zaczyna sprzątać przed otrzymaniem pozwolenia).

Flora. Proszę. (Flora i Cedric wstają).

Gaston (z uśmiechniętą miną, zupełnie nie zdając sobie sprawy ze swojej arogancji). Ja myślę, że państwo zostaną tu przez czas dłuższy.

Flora (spojrzeniem przywołując do porządku kelnera). Ależ to zabawne!

Cedric. Skądże znowu to przypuszczenie.

Gaston. O! miodowy miesiąc, ja to rozumiem. Miejscowość jest bardzo nudna. Ale świeżo zaślubieni anglicy przepadają za nudnemi miejscowościami (Flora zrywa się i wychodzi szybko do grodu drzwiami na lewo).

Cedric (z powolną godnością zapala papierosa i idzie w stronę, którą wyszła Flora, zatrzymuje się jednak i wraca). Jeżeli to komu potrzebne do wiadomości, nie zdaje mi się, żebyśmy tu długo zostali.

Gaston (patrzy na Florę którą widać w ogrodzie i mówi z protekcjonalnym uśmiechem). Dziwna rzecz, jak anglicy się wstydzą, kiedy się żenią. Możnaby pomyśleć, że to zbrodnia w Anglji. Młody człowiek i młoda dama w angielskim hotelu—chcieliby żeby nikt nie przypuszczał, że są po ślubie. Całkiem inaczej jest w Szwajcarji, jesteśmy z tego dumni. Opowiadamy o tem wszystkim. Bo i czego się wstydzić?

Cedric. A więc pan pochodzisz z Szwajcarji?

Gaston. Nie inaczej. Nie jestem anglikiem. (z naciskiem). Mój ojciec jest fabrykantem.

Cedric. A? przemysłowcem?

Gaston. Tak, tak, przemysłowcem. Wyrabia maty na drzwi. Maty mojego ojca są we wszystkich hotelach w Szwajcarji. Grube, dobre maty. Doskonały wyrób. Ojciec zadecydował, że muszę zostać hotelarzem. Chce mi kupić własny hotel. To też uczę się teraz wszystkiego, co mi będzie potrzebne. My tak wszyscy robimy w Szwajcarji. Traktujemy rzeczy scientyficznie. Przez dłuższy czas byłem w kuchniach. Teraz jestem kelnerem. Niema wstydu. Niktby nie odgadł, że jestem gentlemanem.

Cedric. Nie bądź pan zbyt surowy dla siebie, mój przyjacielu. A więc to dlatego przyjechałeś pan do Anglji?

Gaston. Ojciec powiedział: jedź do Anglji. Studjuj w Anglji angielski charakter. To bardzo ważne. Kiedy przyjechałem do Londynu, nie mogłem się wcale rozmówić po angielsku— ale to zupełnie.

Cedric. Kiedyż to było? Zapewne w przeszłym tygodniu?

Gaston. Nie, to już będzie blisko rok. Ale znalazłem miejsce odrazu pierwszego dnia w Grand Babylon Hotel.

Cedric. To musiało być straszne nie umieć po angielsku.

Gaston. O tak, to bardzo męczące — słyszeć każdego dnia obcy język.

Cedric. Oczywiście! przedewszystkiem dla klijentów hotelu.

Gaston (z niedbałym gestem). Oni teraz już się do tego przyzwyczajają. Wielu z nich uczy się po francusku, albo niemiecku, to duża oszczędność czasu. Naród angielski jest praktyczny. Nie jest logiczny, ale jest praktyczny. Dziś już mówię po angielsku tak doskonale, jak po niemiecku i po włosku.

Cedric. No, no, to ciekawe. Ale że też człowiek o tak olbrzymich zdolnościach marnuje się w tak śpiącej miejscowości, jak tutejsza... A może pan uważasz, że jest zabawna?

Gaston (potrząsa głową ze zgorszeniem). Niemożliwie nudna. Ja tu jestem tylko dla zdrowia. Śpiąca! Ach, mój Boże! (z pogardą). Przecież cała Anglja jest śpiąca... Na szczęście, za miesiąc jadę do Niemiec. Mam dosyć Anglji.

Cedric. Widzę, że pan lubisz Niemcy.

Gaston. A! Co za kraj! Co za organizacja! Co za wiedza! Nigdy nie śpi! Zawsze zdobywa! (protekcjonalnie). Czy pan myślisz, że w pańskim zawodzie Niemcy w końcu nie zdobędą pierwszeństwa?

Cedric. W moim zawodzie?

Gaston. No tak, w aeroplanach.

Cedric. A pan skąd wiesz o tem?

Gaston. Ja wiem wszystko... Weź pan naprzykład anilinę.

Cedric. Anilinę?

Gaston. Tak, anilinę—kolory.

Cedric. A? mówisz pan o farbie anilinowej?

Gaston. Tak właśnie.

Cedric. No i cóż się z nią dzieje?

Gaston. Jakto, co się z nią dzieje? Anglja ją wynalazła. Niemcy wzięły ją od was — całkowicie. O! to jest wiedza. Ze wszystkiem Niemcy tak robią. Tak będzie i z aeroplanami. Anglja i Francja—są z nich dumne, bardzo dumne. Ale w końcu! zobaczy pan, co będzie w końcu.

Cedric. Oo...

Gaston. I to niedługo!

Cedric. Powiedz mi pan, proszę, lepiej, jakim sposobem pan wyśledził, że my jesteśmy w naszym miodowym miesiącu. Radbym to wiedzieć.

Gaston. A, o to chodzi? Ja czytam, ja studjuję; ja jestem sam jeden w całej tej śpiącej miejscowości! Co pan powie? nie było tu ani jednego wieczornego dziennika londyńskiego, dopóki ja nie zażądałem go na dworcu. Musiałem nawet nalegać. Trzymam „The Piccadilly Gazette“— Wiesz pan—„pisaną przez getlemenów dla gentlemenów“. Czytam ją codziennie. A i trzeba przyznać, że ten dziennik ma respekt dla Niemców.

Cedric. Czyżbyś pan czytał coś o moim małżeństwie w „Piccadilly Gazette“?

Gaston. A jakże. Chcesz pan przeczytać?

Cedric. I owszem, jeżeli to panu nie przerwie pańskich studjów.

Gaston (wyjmując gazetę z kieszeni). Proszę (podaje gazetę i czeka w postawie wyraźnie wskazującej, że spodziewa się napiwka).

Cedric (biorąc gazetę). Dziękuję. (patrzy przez chwilę na Gastona i daje mu napiwek).

Gaston (chowając pieniądze). Dziękuję... A może pan chce także przeczytać to, co tam jest o Klopstocku? (zabiera tacę).

Cedric. O Klopstocku? Cóż tam jest o nim?

Gaston. Przyjeżdża do Anglji natychmiast po lotach we Wrocławiu. No — zobaczysz pan! (wychodzi na prawo z tacą).

(Cedric siada z gazetą; zaczyna czytać).

Cedric (spokojnie). Oo...

(Kładzie wypalony papieros na doniczkę z kwiatami; wyjmuje potem cygaro z portcigary, obcina je, kładzie je w usta, wyjmuje zapalniczkę, naciska ją, podnosi do cygara i zaczytany, nie zwraca uwagi, że zapalniczka nie zapala się).

Cedric. O, no, proszę...

(Czytając podchodzi do okna i opiera się o jedno z jego zamkniętych skrzydeł. Po chwili Flora ukazuje się w otwartej części okna. Cedric dostrzega ją i nie przerywając czytania, skinieniem ręki przywołuje ją).

Flora (w oknie, szeptem konspiracyjnym). Czy znawca serc poszedł ju sobie? (Cedric potakuje). Więc idziemy? (Cedric ruchem ręki prosi, żeby weszła do środka).

(Wchodzi Flora drzwiami z lewej strony).

Flora. O, Cedric! cóż za cios! Jesteśmy teraz zwykłą parą małżeńską, spędzającą miodowy miesiąc w Pixton-on-Sea! Skądże on mógł się dowiedzieć?

Cedric (mało zwracając uwagi na to co mówi Flora). Czytaj, Fluff, tutaj. (wręcza jej gazetę, wskazując palcem odnośny artykuł). W drugiej kolumnie od góry.

Flora (czyta w innem miejscu gazety). „Dowiadujemy się że pan Cedric Haslam słynny awiator (Cedric okazuje zdumienie) wziął dziś zrana ślub w Colchester z panią Florą Lloyd, wdową po zmarłym panu Artemus Lloyd, finansiście, który był jedną z dobrze znanych postaci wśród bywalców Cyrku Kafrów. Pan i pani Reach Haslam, rodzice narzeczonego, i brat jego, pan Charles Haslam, byli jedynymi świadkami ślubu. Szczęśliwa para młodych małżonków spędza pierwszą część miodowego miesiąca w Pixton-on-Sea. Przez ciekawy zbieg okoliczności, najnowsza powieść pani Reach Haslam, „Małżeństwo Kanclerza“ pojawiła się na półkach księgarskich właśnie w dniu małżeństwa jej najstarszego syna“ (załamując ręce). Jedno nam tylko pozostaje. Uciekać. Natychmiast uciekać. I to jaknajdalej. Cedricu, przypuszczam, że to jest sprawka twojej matki.

Cedric. Nie zdaje mi się. To jakieś przypadkowe wygadanie się czyjeś. Matka nienawidzi wszelkiej reklamy.

Flora. O, słyszałam to. Ale także zauważyłam, że niedyskrecje reklamowe prześladują ją w sposkb fatalny. Twój ojciec powinienby zwrócić na to uwagę i zbadać tę rzecz do głębi.

Cedric (z niedbałą niecierpliwością). Ach! to bagatela zresztą. Ja chciałem ci pokazać co innego; tej notatki nawet nie zauważyłem. O, patrz tutaj (pokazuje jej inny artykuł).

Flora. „Nieporozumienie w gabinecie ministrów. Nadzwyczajne pogłoski“.

Cedric. Ach, nie to! (bierze dziennik i czyta) „*Inwazja niemiecka*. Bezpośrednio po ukończeniu meetingu Wrocławskiego, głośny awiator niemiecki pan Klopstock wysyła swój zwycięzki nowy monoplan do Anglji. Ogłosił już swój stanowczy zamiar ubiegania się za trzy tygodnie o nagrodę dziesięciu tysięcy funtów szterlingów, wyznaczonych świeżo przez nasz Aero-Club dla pierwszego awiatora, który przeleci po nad górą Snowdon. Pan Klopstock, który jak się dowiadujemy, wynajął już cały hotel w Beddgelert na pomieszczenie swojego sztabu, jest przekonany, że jego maszyna z łatwością wzniesie się przynajmniej na dziesięć tysięcy stóp. Cesarz Wilhelm ochrzcił świeżo telegraficznie aeroplan pana Klopstocka nazwą „Czarny Orzeł“, i zapewnił słynnego awiatora i ex-profesora o swoich najserdeczniejszych uczuciach dla niego i jego rodziny. Najmłodszy wnuk cesarski, książę... etc. etc... Vaterland... etc. etc... Wiadomości te wywolają niewątpliwie wielkie wrażenie w Anglji, podobnie jak wywołały w Niemczech“. No ja myślę, że wywołają.

Flora. A to czemu?

Cedric. Jak to czemu? Cesarski Czarny Orzeł przelecieć ma po nad najwyższą górą Anglji i zabrać za to wyznaczoną przez nas nagrodę dziesięciu tysięciu funtów! Przecież to niesłychane. No, i co o tem myślisz?

Flora. Myślę, że byłoby daleko prościej i mniej kosztowne nie wyznaczać nagrody dziesięciu tysięcy funtów. To zbyt wielka pokusa. A przytem myślę, że byle kto może przelecieć przez taki pogórek jak Snowdon, skoro przelatywano już przez Pireneje i inne tym podobne rzeczy.

Cedric. Moje przemiłe dziecko mówi tak, jakby się na tem nic a nic nie rozumiało. A przecież odtąd rozumieć się już na tem powinnaś. Już tylko z powodu samych mgieł przebycie Snowdonu jest trudniejsze niż przebycie Pirenejów. A przytem Aero-Club był na tyle przezorny, że wymaga aby awiator startował i lądował w oddaleniu czterech mil od wierzchołka. Nie lada kto potrafi rozpędzić się na takim gruncie i wylądować bez uszkodzenia maszyny. A potem

jak tu znaleźć drogę? Lotnik zdany jest na los swojej maszyny na wysokości nie mniejszej jak sześć tysięcy stóp.

Flora (z gestem lekceważenia). Nie sądzę w takim razie, żeby to wszystko było takie łatwe dla pana Klopstocka. Nie rozejrzał się zapewne w trudnościach. Niemcy są zwykle zbyt pewni siebie... Zauważyłam to często w hotelach. I nie zdają sobie z tego sprawy (innym tonem). Czy sądzisz, że mu się powiedzie?

Cedric. Może mu się powieść. Nie jest to jednak pewne; będzie musiał powiększyć siłę swego motoru: ale on to zapewne zrobi.

Flora. Ostatecznie bardzo jest prawdopodobne, że mu się nie powiedzie. A wtedy będziesz mógł próbować w lipcu tego zadania, jak zamierzałeś pierwotnie. Bo oczywiście, bądź co bądź—chodzi o nagrodę.

Cedric. Nie idzie o pieniądze.

Flora. No chyba także i nie o górę...

Cedric (idąc ze swojemi myślami). Trzeba się zaraz zabrać do tej sprawy, najpóźniej w połowie przyszłego tygodnia. Jeden dzień będzie potrzebny ną modyfikację skrzydeł, drugi na ich nastawianie. O! będę gotów wprzód niż on. Muszę mu w każdym razie dać możność zainstalowania się w jego hotelu. Nie można pozbawiać pana Klopstocka i jego towarzyszy okazji podziwiania pięknego krajobrazu.

Flora (od niechcenia). Więc już w przyszłym tygodniu masz się zabrać do dzieła.

Cedric. Ja albo nikt. Na nic się nie zdało taić prawdę, Fluff.

Flora. Ale może w gorączce chwili zapomniałeś, że nam się zdarzyło dziś zrana wziąć ślub z sobą, Cedricu?

Cedric Byłoby lepiej, gdyby się to nie zdarzyło dziś zrana (Flora patrzy na niego z uwagą). To znaczy, że wolałbym aby to się zdarzyło tydzień przedtem. Szalona przykrość. Cóż robić jednak. Gdybyśmy wcześniej to wiedzieli, wszystko byłoby się inaczej ułożyło.

Flora. Zechciej jednak zwrócić uwagę, że nasze mieszkanie nie będzie jeszcze gotowe w przyszłym miesiącu.

Cedric. Jakoś to będzie. jakoś to będzie. Zamieszkamy w Grand Babylon hotelu, albo w jakimś tymczasowym mieszkaniu (chwila milczenia). Przykrość oczywiście jest niesłychana... I trzebaż właśnie żeby się to zdarzyło dzisiaj... Bądź co bądź, jak powiedziałem słusznie — nie ma rady, trzeba się pogodzić z losem. Nie można przecież dawać szczęściu niemieckiemu takiej szansy. Cały świat będzie miał zwrócone oczy na ten turniej—doprawdy cały świat. Gdyby to chodziło o powolne wypieranie nas jak zwykle w technice i przemyśle, nie zwróconoby może na to uwagi; ale Snowdon jest Snowdon, a Czarny Orzeł jest Czarny Orzeł, i niebawem z komiczną afektacją Anglja zwróci się do twego małżonka pani w godzinie niebezpieczeństwa. Jednem słowem Fluff, nic nie mogę na to poradzić.

Flora (lekko). Słuchaj, Cedricu!

Cedric. Słucham.

Flora. Jeżeli się nie mylę, zawarliśmy ścisłą umowę co do pełnego kalendarzowego miesiąca.

Cedric (po chwili milczenia; z możliwą swobodą). Czy mam to rozumieć że życzysz sobie, abym zaniechał Snowdońskiego turnieju. Czyżby istotnie.

Flora. Tak, istotnie; a ty nie chcesz zaniechać?

Cedric. Nie mówisz chyba serjo.

Flora. Dlaczegoż bym miała używać nagle innego tonu niż ty i mówić poważnie? Mam nadzieję, że się bez tego tonu obejdę.

Cedric. Oczywiście, oczywiście. Ale pomyśl tylko—Gdyby był ktokolwiek inny, ktoby mógł mnie zastąpić. Jeden Smith-James mógłby, gdyby tylko chciał zużyć naszą maszynę — ale on nie zechce. Niema sposobu aby go do tego skłonić. Widzisz więc—niema rady.

Flora. Doprawdy nie rozumiem o co chodzi. Więc to dlatego, że czyjaś tam maszyna nazwana została „Czarnym Orłem“, w telegramie który...

Cedric. Tak po części i dlatego.

Flora. Więc wskutek tego, że jakiś obcy reklamiarz ma zamiar pierwszy przelecieć nad masą błota nazwaną Snowdonem.

Cedric. Mówiłem ci, dziecko, że Snowdon jest najwyższą górą w Anglji.

Flora. Mylisz się najzupełniej.

Cedric. O przepraszam. Trzy tysiące pięćset siedemdziesiąt stóp. Następna najwyższa zaraz po Snowdonie góra...

Flora. Dobrze, dobrze. Idź i powiedz kanclerzowi skarbu Wielkiej Brytanji panu Lloyd George, że Snowdon jest najwyższą górą w Anglji, a zobaczysz co się stanie.

Cedric. Prawda! Jego patryjotyzm Walijski uczuł by się obrażony. Więc Snowdon jest najwyższą górą w Walji. Ale to na jedno wyjdzie.

Flora. (Z wielkim wdziękiem). A - jeśli myślisz o tych dziesięciu tysiącach funtów, to ci powiem pod wielkim sekretem, że nie oddam ani jednego dnia z mojego miodowego miesiąca z tobą nawet za dziesięć razy większą sumę. Wszakżeż mówiłam ci, najdroższy, że chcę, aby ten nasz miesiąc był bardzo kosztowny, nieprawdaż?

Cedric. (Potrząsa głową na znak przeczenia i mówi z spokojną pewnością siebie). Pieniądze nie mają dla mnie zbyt wielkiego znaczenia. Pochlebiam sobie, że mało kto z takim spokojem mógłby temi banknotami zapalić ogień, który by

ci był potrzebny, choćby do papierosa (strzepuje palcami cygaro, które się nie pali).

Flora. Otrząsasz popiół z twego cygara, ale zdaje mi się że nie spostrzegłeś, że wcale nie jest zapalone.

Cedric. Ach, prawda (zapala cygaro). Wracając do sprawy Snowdonu... Przecież to jest symbol... (jakby do siebie samego) Doprawdy nie wiem, jak ci mam to wytłomaczyć. Musisz zrozumieć,..

Flora. (Z pełnym wdzięku przymileniem) O nie wysilaj się, rozumiem to wybornie. Zechciej sobie jednak przypomnięć.. Kto to z nas dwojga powiedział przed chwilą, że to miesiąc miodowy właśnie jest symbolem... Niema dla mnie rzeczy ważniejszej w świecie niż nasze małżeństwo. Mamy przed sobą okres życia najpiękniejszy, najbardziej zajmujący. Nie można go odłożyć na kiedyindziej, wiesz o tem doskonale. To nie pudełko cygar, które możesz kupić w pierwszym lepszym sklepie i załatwić ten sprawunek wtedy, kiedy znajdziesz pięć minut czasu. Musisz to przyżyć teraz albo nigdy. Poniewierać tem nie można. Można to tylko zniweczyć. (uśmiecha się swobodnie).

Cedric. (Probując ją uścisnąć, pieszczotliwym tonem) Mój Fluff, mój puszek biały, zaczyna być tragiczny...

Flora. (Usuwając się) O nie, cóż znowu...

Cedric. Słuchaj mnie tedy, mój skarbie. Czyniąc moje projekty, myślę conajmniej tyle samo o tobie, co o sobie. Cała ta sprawa, zechciej zważyć, wywrze decydujący wpływ na moją karjerę.

Flora. Ale zastanów się, jaki ona musi mieć wpływ na moją...

Cedric. Zupełnie ten sam. Przypuszczam, że nasze interesy są identyczne.

Flora. Czy doprawdy mój pan jest tak naiwny, aby rzeczywiście w to wierzyć?

Cedric. Dlaczegóż nie mam wierzyć? Wszak jesteś moją żoną!

Flora. Z mojego punktu widzenia rzeczy przedstawiają się w ten sposób, że ty jesteś moim małżonkiem. I jeśli mowa o karjerze, to biorąc wszystko ściśle, zrobiłeś ją, zostając moim mężem.

Cedric. (Starając się być uprzejmym) Niema żadnej wątpliwości. A i ty także, zostając moją żoną. Ale — —

Flora. Chwileczkę jeszcze — pozwól... Jesteś niezrównany jako awiator, nieprawdaż?

Cedric. (Z konwencjonalną skromnością) O — przesada — —

Flora. Ależ tak, tak. Mówmy szczerze. Trzeba na bok odłożyć skromność. Zdaję sobie doskonale z tego sprawę, że jesteś jedynym w swoim zawodzie Czy nie tak?

Cedric. (Z wahaniem i galanterją) Dajmy na to, że jestem równie jedynym między awiatorami, jak ty jedyną między pięknemi kobietami, najdroższa.

Flora. Bardzo ładnie z twojej strony, że to przyznajesz.

Cedric. Zawsze tak myślałem.

Flora. Tak, ale zależało mi na tem właśnie, abyś to przyznał. Mówiłeś mi często, że jestem jedyną na świecie, i właśnie szło mi o to, abyś to powiedział raz jeszcze, w tym właśnie szczególnym momencie. Mogłam ci to sama przypomnieć, ale nie byłoby to tak skuteczne. Dlatego powiedziałam, że to jest bardzo ładnie z twojej strony.

Cedric. Ależ tak, jesteś jedyną na świecie—mogę to powtarzać tak często, ile razy zechcesz.

Flora. Ostrzegam cię... Dostarczasz bardzo poważnego argumentu przeciwko sobie.

Cedric. Ależ niczego tak nie pragnę.

Flora. Nie chcę powtarzać wszystkich pochlebnych przymiotników, jakich miałeś zwyczaj używać mówiąc o mnie. Gdybyś nie był tak stanowczym wrogiem wybuchów i superlatywów, można byłoby podejrzewać, że przesadzałeś niekiedy, mówiąc o mnie do mnie. Ale wiem, że nie przesadzasz nigdy, przynajmniej świadomie, a z drugiej strony, zdajesz sobie wybornie sprawę jak trafnym jest twój sąd.

Cedric. Sąd? O czem?

Flora. O nas obojgu!.. A teraz pomyśl tylko, Cedric, czy to nie byłaby szkoda, przeszkodzić takiej istocie, która jest jedyną w swoim zawodzie, w roztoczeniu jej jedynej potęgi w jedynej dla niej chwili; u samego szczytu jej karjery. Wiesz, że ona nigdy nie będzie miała już innej sposobności, jak ta, która się dzisiaj zdarza, — żeby dowieść że jest rzeczywiście jedyna w swoim zawodzie.

Cedric. Ale co nazywasz swoim zawodem? Tłomacz się trochę jaśniej...

Flora. (Po krótkiej chwili milczenia, spokojnie i szybko) Moim zawodem jest — zachwycać. Tylko to jedno.

Cedric. Do kroćset... Zawód jest prześliczny. Ale (ujmująco, ale jakby do siebie) doprawdy, nie mogę ustalić związku...

Flora. A jednak powinieneś, najdroższy; jesteś tylko tak przezorny, że niechcesz. Zapewne czynisz porównanie pomiędzy ważnością twojego zawodu a mojego. Zgadzam się i na to. Gotowa jestem na największe ustępstwa. Przypuszczam chętnie, że gdyby Hyde Park przepełniony był wszystkimi awiatorami, a Battersea Park na drugim brzegu Tamizy wszystkiemi uroczemi, pięknemi... — szykownemi (gest wskazujący na suknię) kobietami, żadnemu z was nie przeszłoby nawet przez głowę — przejść przez rzekę. Godzę się nawet i na to, że gdyby wszyscy awiatorowie Europy wycofali się jutro z interesów,

cały świat przywdziałby żałobę, a gdyby wycofały się z interesów wszystkie czarujące i piękne kobiety, niktby na to nie zwrócił uwagi. Ale w każdym razie —

Cedric. (Z uznaniem) — Pochylam czoło przed dowcipem...

Flora. Podobno nam obojgu nie brak dowcipu: zdarzało się czasami, że pochylałam czoło przed twoim...

Cedric. Przyznaję, że nie może być żadnego porównania pomiędzy mojem powołaniem a twojem: nie ja wprowadziłem to porównanie do naszej rozmowy. Ale skoro już o tem mówimy, proszę uwzględnić, że pani mego serca może zachwycać nieustannie, ja zaś nieustannie latać nie mogę. Jesteś zawsze czarująca; zawsze więc spełniasz to, co uważasz za swoje powołanie. Ja zaś przy mojem powołaniu muszę wybierać chwile i sposobności — albo raczej nie ja je wybieram, to one mnie powołują dowolnie, jak właśnie teraz naprzykład. I nie mają względu na żadne moje inne projekty, nie mają względu nawet na mój miesiąc miodowy: Popis lotniczy, to jak powołanie pod broń.

Flora. Uprzejmość twoja, Cedricu, wzięła górę nad twoją szczerością. Wiesz dobrze, że nie mogę zawsze zachwycać, — a nawet zawsze podobać się. Spytaj się swojej matki. I czy już zapomniałeś o naszym historycznym sporze z przed trzech miesięcy o długość twoich wąsów? Nie, nie — nie jestem zawsze czarująca. I nie chcę być zawsze czarująca. Toby było zbyt męczące. Ty jeszcze nigdy nie widziałeś mojego popisu lotniczego. Jeżeli ci się zdaje, że znasz już całą moją sztukę to się mylisz. To co widziałeś dotychczas, to tylko małe próby bez żadnego znaczenia. Nie mogłam tylko zapowiadać ci formalnie, że przygotowałam na najbliższy miesiąc sensacyjny lot popisowy, który ma trwać całych dni trzydzieści jeden. Nie mogłam cię wtajemniczać, że obmyślenie —szczegółów tego lotu wymagało dużo trudów i że poczyniłam wszystkie niezbędne i pracowite przygotowania. Ogromnie byłoby mi żal, gdyby to miało pójść na marne. A o odłożeniu tego nie może być mowy, — to ci już tłómaczyłam. Widzisz więc, że tak samo jak i ty, nie wybieram czasu i sposobności.

Cedric. Ależ zdaje mi się, Fluff, że ten twój lot popisowy nie jest związany geograficznie z miejscem naszego pobytu. Może się odbyć tam gdzie będziemy.

Flora. Tak sądzisz? A gdzież wtedy będzie moja publiczność, mój sąd konkursowy?

Cedric. Przecież ja tylko zawsze będę twoją publicznością i twoim sędzią.

Flora. Czyż będziesz mógł, Cedric! Tylko wtedy będę mogła rozwinąć wszystkie swoje zdolności, gdy będę pewna, że moje audytorjum obserwuje mnie z niezakłóconą niczem uwagą. Być może, że nie runęłabym zupełnie na dół, ale jedyną w swoim rodzaju nie mogłabym być z pewnością dla człowieka (z umyślym odcieniem ironji w głosie), zajętego głównie kontrolowaniem swojego motoru i zaabsorbowanego przedewszystkiem barometrem.

Cedric. No naturalnie—jeżeli nie uznajesz ważności, jaką ma dla nas sprawa Snowdońskiego konkursu...

Flora (Znowu niezmiernie ujmująco). Ależ ja ją uznaję najzupełniej. Kobieta, jedyna w swoim rodzaju, nie może być ograniczoną gęsią pod każdym innym względem. Przyznaję doniosłą ważność dla nas Snowdonu. Nie myślę przytaczać żadnych argumentów przeciwko niej. Powiedziano mi przy jakiejś sposobności, że jestem zbyt dobrze ubrana, abym była zdolna do argumentowania. Chcę ci tylko postawić jedno pytanie: co dla ciebie jest najważniejszą rzeczą w życiu? Proszę o szczerą, prostą odpowiedź: czy główną sprawą twego życia jest małżeństwo, czy też główną sprawą twego życia jest posuwanie się w powietrzu, bez widzialnych środków oparcia (z uśmiechem). A teraz patrz mi prosto w twarz i bądź mężczyzną.

Cedric. Twoje pytania są, jak widzę, niezmiernie zàsadnicze.

Flora. Idzie mi o to, czy małżeństwo ma być dla ciebie tylko rozrywką w przerwach pomiędzy lataniem, czy też lotnictwo twoje dostarczać ci ma raczej sił i środków do korzystania w całej pełni wśród najprzyjaźniejszych warunków z czarów małżeńskiego kunsztu. Idzie mi o to, czy będziesz żył bardziej intensywnie walcząc z wichrem czy (zniżając głos)—ze mną? To jedno muszę wiedzieć. Bo jeżeli żyć chcesz całą pełnią życia tylko przy mnie, nasz miesiąc miodowy wart będzie dla nas więcej niż czterdzieści Snowdonów.

Cedric (z nieznacznym chłodem w głosie). Nie potrzebujesz dłużej wysilać się — Snowdon jest zachwiany. Istotnie, moja pozycja jest nie do utrzymania. Ustąpię jeśli będziesz nalegać...

Flora (tracąc panowanie nad sobą). Nalegać? Nalegać, abyś odstąpił od aeroplanu i został przy mnie? Mój drogi chłopcze, nie mogłabym do tego stopnia wyzyskiwać mojej przewagi nad aeroplanem... Aeroplan nie może nalegać. A ja — nie będę, to rzecz pewna.

Cedric. Nie mogę ci przyznać, żebyś była zupełnie logiczna.

Flora. I dlaczegóż to? Dlatego, że nie nalegam?

Cedric (z pewnem zakłopotaniem). Ach nie, mówię ogólnie. Naprzykład, kiedy zaczęliśmy o tem mówić, pierwszym twoim argumentem było, że nie możemy skracać miodowego miesiąca, bo nasze mieszkanie nie będzie jeszcze gotowe.

Flora. Nie można przecież myśleć o wszystkiem odrazu. Zechciej uwzględnić, że nie występowałam dotąd nigdy z mową prawniczą przed sądem. Gdybym wiedziała, co się stanie, byłabym niewątpliwie przygotowała moją sprawę,

spisałabym to co mam powiedzieć i kopje rozesłałabym do dzienników... Ale co ja mam powiedzieć o twojej logice?

Cedric. O mojej?

Flora. Tak, o twojej! Kiedy przed chwilą prosiłam cię o prostą i — szczerą odpowiedź, odpowiedziałeś mi wymówką, że zadaję zbyt zasadnicze pytania? Czy oczekiwałeś po mnie, że będę rozmawiała z tobą tylko o rzeczach płytkich? Że najważniejszem pytaniem, jakie ci zadam, będzie kwestja, jakie mydło uważam za najlepsze?

Cedric. Ależ, Fluffiest, puszeczku mój najbielszy...

Flora (zniecierpliwiona). Cedricu, nie życzę sobie, żebyś mnie tak nazywał. To się dopiero zaczęło od chwili naszego małżeństwa. Mogę ścierpieć: „puch", nie podoba mi się już „puszek", a przeciwko „puszeczkowi" protestuję w sposób jaknajbardziej stanowczy.

Cedric. Proszę o przebaczenie.

Flora (odzyskuje panowanie nad sobą). To ja tylko zanoszę przyjazną prośbę. Przez chwilę zapomniałam o tej „zwykłej powierzchownej grzeczności", która łączy się w jednym rzędzie ze zdrowym rozsądkiem.

Cedric. Drogie dziecko, wszystko jest w zupełnym porządku. Miodowy miesiąc nie będzie skrócony ani o jeden dzień. Wszystko jest w zupełnym porządku.

Flora (potrząsa głową). Nie, jeszcze nie jest. Ustąpiłeś jedynie dlatego, iżby mnie nie martwić.

Cedric. Ależ, doprawy — (śmieje się).

Flora. Cedricu. Uczciwie. Tak, czy nie? Według twego zdania, powinnam ustąpić przed aeroplanem?

Cedric (oboje patrzą sobie w oczy). Mojem zdaniem, nie powinnaś nawet zadawać takich pytań...

Flora. Nie. Ale istotnie — takie pytania powinny były być zadawane wcześniej. Ale ludzka natura jest tak — ludzka, że nie jest w zwyczaju pytać się o takie rzeczy wcześniej. Byłoby to uważane za rzecz niesmaczną, niewłaściwą. Wogóle uchodzi za rzecz niewłaściwą, jeżeli narzeczeni zadają sobie pytania, które ich istotnie obchodzą. (po chwili milczenia, głosem niepewnym). Czy lepiej jest wziąć mieszkanie wynajęte, czy kupić dom własny, i jaki ma być kolor krzeseł w salonie — oto granice pytań właściwych. Czy tego jesteś zdania? (znowu chwila milczenia). A więc?

Cedric (zbliżając się do niej). Więc—co?

Flora. Czy według twego zdania— powinnam ustąpić przed aeroplanem?

Cedric (zatrzymuje się, dosyć stanowczo). Mój skarbie, jeżeli żądasz, żebym był szczery, sądzę, że konkurs Snowdoński jest sprawą, której nie należałoby zaniedbywać. (Chwila silnego napięcia nastrojów).

Flora (z łzami w głosie). Okazuje się, iż zdrowy rozsądek nie jest cudownem lekarstwem na wszystkie trudności (gwałtownie). Gdybym miała silną wiarę, ta przebrzydła góra leżałaby już w głębi morza (łkanie).

Cedric. Floro... ależ... no, co ja mam mówić.

Flora (opanowując się). Tu już nic więcej nie mamy do mówienia—ani ja, ani ty. To jest... to jest już beznadziejne.

(Wchodzi Karol Haslam, z prawej strony, ostrożnie).

(Ubrany jest w kostjum samochodowy).

Karol (w drzwiach, mówi do kogoś w kulisę). Wszystko dobrze. Są już w naszych rękach (wchodzi do pokoju).

Cedric (niezmiernie zdziwiony marszczy brwi). A to co znowu?

Karol. Prawda? niespodzianka... A tobie co się stało, Floro?

Flora (opanowując wzruszenie, ironicznie). Nic, nic—bardzo ładnie z twojej strony, iż przyszła ci myśl przyjechać i rozweselić naszą samotność, ale nie możesz się dziwić, że jesteśmy tem zaskoczeni...

(Wchodzi pan Reach Haslam).

Cedric. No, no... (Pan Reach Haslam czyni gest przepraszający).

Pan Reach Haslam. Droga Floro?

(Wchodzi Pani Reach Haslam).

Cedric. To już... (gest zdumienia).

(Wchodzi Gaston).

Flora. Miła niespodzianka... Trochę może niezwykła...

Pani Reach Haslam. Kochany synu, kochana Floro—(zwraca się do pana Reach Haslam). Niech teraz ojciec—(urywa).

Pan Reach Haslam (do Gastona, który się kręci wywiadowczo). Jeżeli w orjentacji waćpana zachodzi najlżejsza wątpliwość co do dokładnego geograficznego położenia drzwi...

Gaston. Proszę? (W sensie: „Przepraszam pana, nie zwracałem na to uwagi, co pan mówił?).

Pan Reach Haslam (podchodzi do drzwi na prawo i daje znak Gastonowi, żeby wyszedł. Gaston wychodzi. Pan Reach Haslam zamyka drzwi).

Cedric (na stronie do Karola. Co to znaczy? Co się stało?

Karol (głośno). Wyobraź sobie, Rick.

Pani Reach Haslam. Co ci mówilam, Charles, przed wejściem tutaj! Zrób mi tę przy-

jemność i usiądź tam na boku... (Charles stosuje się do tego rozkazu).

Flora. Przypuszczam, że wszyscy usiądziemy, Więc co pani mówiła do syna przed wejściem tutaj?

Pani Reach Haslam (siada). Wierzaj mi Floro, nigdy w życiu nie czułam do tego stopnia, że sytuacja przerasta moje siły...

Cedric. Mamo, możeby lepiej powiedzieć w jednem słowie, co zaszło.

Pani Reach Haslam. Dobrze, ojciec wasz wyłuszczy wam to wszystko... Okoliczności są nadzwyczajnie drażliwe, doprawdy... przykre. Ale trzeba się do nich zastosować, i to zastosować z godnością. Trzeba przedsięwziąć rozmaite wskazane kroki, w ich naturalnym porządku, bez żadnej zwłoki. Pierwszym z tych kroków jest powiadomienie ciebie i Flory o faktycznej stronie zdarzenia. Ojciec was powiadomi; jako głowa rodziny, jako źródło władzy wśród niej, przystoi mu ten obowiązek najwłaściwiej. Zdecydowałam to w sposób stanowczy w samochodzie. (Do pana Reach Haslam). Proszę cię, mój drogi.

Pan Reach Haslam. Dobrze, moja droga. (do Cedrica i Flory). Wiadomo wam, że kiedy opuściliśmy wspólnie kościół, udaliśmy się z powrotem prosto do miasta. Skoro tylko —

Pani Reach Haslam (przerywając, do Cedrica i Flory), Proszę was, nie przestraszajcie się zbytecznie. Jak mówiłam, okoliczności są przykre, ale skoro zaradzi się im tak, jak my im zaradzimy, w gruncie rzeczy stracą wszelkie znaczenie. Główną rzeczą była zastać was jeszcze na czas. Dzięki niebu, dokazaliśmy tego.

Karol. Dzięki mojemu mistrzowskiemu i zuchwałemu kierowaniu maszyną...

Pani Reach Haslam (powstrzymując syna wzrokiem). Gdybyśmy się byli spóźnili; (gest roz paczy w stronę pana Reach Haslam). Proszę cię, mój drogi.

Pan Reach Haslam (kłaniając się uprzejmie w stronę żony). Skoro tylko skończyliśmy śniadanie, matka wasza zabrała się do pracy, którą skutkiem waszego ślubu musiała przerwać.

Pani Reach Haslam. O te szczegóły—mniejsza. Uczyń to tak zręcznie, jak tylko można, ale przejdź odrazu do samej istoty rzeczy. Uważam, że tak będzie najlepiej.

Pan Reach Haslam. A więc—odrazu do telefonu?

Pani Reach Haslam. Odrazu do telefonu.

Pan Reach Haslam (kłaniając się uprzejmie w stronę żony). Przerwał nam pracę dzwonek od telefonu. Matka wasza podeszła w zamyśleniu, a kiedy się znalazła przy aparacie, podniosła słuchawkę i zaczęła odpowiadać na zapytanie, jakie usłyszała. Potem rzekła do mnie: „To biskup z Colchester". Byłem wtedy przy biurku. Za chwilę matka wezwała mnie, abym poszedł do telefonu i wziął słuchawkę, bo sama nie mogła uwierzyć swoim uszom. Uczyniłem jak sobie życzyła, a Biskup—on to bowiem sam telefonował z Pałacu w Colchester — powtórzył na moje zapytanie to, o czem telefonicznie zawiadowił waszą matkę, a mianowicie, że zastępca plebana, który—hm—dziś zrana urzędował przy waszym akcie ślubnym, nagle poruszony wpływem piękności.

Pani Reach Haslam. Wpływem piękności.

Pan Reach Haslam. Dokładnie zrozumiałem: „piękności". Coprawda, biskup nie ma głosu odpowiedniego do rozmawiania przez telefon — daleko silniejsze musi sprawiać wrażenie przy bierzmowaniu niż przy telefonowaniu. Ja słyszałem: „piękności". Jednakowoż.

Pani Reach Haslam. Wpływem powinności.

Pan Reach Haslam. Nie ma żadnej wątpliwości, że masz słuszność. Ja jednak wywnioskowałem, że to piękność Flory poruszyła jego sumienie.

Pani Reach Haslam. O, nie!

Flora. Co zrobiła? Poruszyła sumienie?

Karol (podchodzi ku grupie rozmawiających, nie mogąc powstrzymać niecierpliwości). Nie, to nie do wytrzymania. Okazało się, że ten wikary był tylko świeckim samozwańcem — wcale nie był wikarym.

Cedric. Świeckim samozwańcem!?

Flora. Ależ to nie jest z prawdziwego zdarzenia! To być nie może!

Pani Reach Haslam. To samo mówiło bardzo wiele ludzi, kiedy w mojej powieści, „Kobieta z Kent" wprowadziłam posłańca sklepowego, który z powodzeniem udawał archidjakona. Każdy to powtarzał, dopóki pan Gladstone nie napisał, że uznaje to epizodyczne zdarzenie za zupełnie przekonywujące. Pamiętasz to, mój drogi?

Pan Reach Haslam. Jaknajżywiej.

Pani Reach Haslam. Zapewniam was,— zdarza się to bardzo często z takiego lub innego powodu, że małżeństwa, które się uważały za małżeństwa, nie były małżeństwami. Dlatego nawet specjalne Akty Parlamentu były wydawane, aby uregulować takie sprawy—jakkolwiek posuwały się do pewnego stopnia za daleko. Spotkałam się z tem, kiedy studjowałam ten przedmiot, z powodu, iż zainteresowała mię sprawa bardzo znamienna. Pewna dama, z powodu, iż kościół w którym brała ślub nie był poświęcony dość starannie, uważa się prawną matkę szesnaściorga dzieci—mimo, iż nieszczęsna...

Flora (przerywając). A więc to ma znaczyć, że ja i Cedric nie jesteśmy małżeństwem?

Pani Reach Haslam. Niestety—chciałam was na to przygotować tak łagodnie, jak tylko było można, ale faktem jest... (patrzy na swego męża, z milczącem wezwaniem, aby mówił).

Pan Reach Haslam. Faktem jest, że byłoby przesadą twierdzić, że jesteście małżeństwem.

Pani Reach Haslam. Gdyby przyjęty był został mój projekt, aby Biskup związał wasze stadło—a on sam byłby tą propozycją zachwycony,—gdyby ślub był się odbył w katerze, ta rzecz okropna nie byłaby się nigdy stała. Nie znany jest jeszcze dotąd przypadek, ażeby ktoś podawał się fałszywie za Biskupa.

Cedric. Więc cóż mamy teraz uczynić?

Karol (swawolnie). Uczynicie najrozumniej, jeżeli do jutra rana będziecie udawali, że nic o tem nie wiecie.

Pani Reach Haslam (zgorszona). Ale to byłoby straszne—Karolu, wprawiasz mię w zdumienie. Uczyniłbyś najlepiej, gdybyś był został przy swoim samochodzie i nie mięszał się do całej tej sprawy. (Do pana Reach Haslam). Niech ojciec wypowie swoje zdanie.

Pan Reach Haslam (do Cadrica). Na razie wydaje mi się jedynie wskazaną — polityka mistrzowskiej bezczynności.

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Pracownia pani REACH HASLAM. Obszerny apartament, urządzony bogato i ze smakiem. Zacisze najpopularniejszej, najbogatszej, najmajestatyczniejszej powieściopisarki świata. Wielkie i piękne biuro (dla dwóch osób, siedzących naprzeciwko siebie) mniej więcej w środku pokoju. Drzwi w głębi prowadzą do hallu i t. d. Drzwi na lewo do pokoju bawialnego. W głębi na lewo sofa, zasłonięta przez ekran przed wzrokiem osób wchodzących drzwiami na lewo. Na biurku stojący aparat kalendarzowy z datami. Telefon.

Wszyscy HASLAMOWIE z wyjątkiem KAROLA są w strojach wieczorowych. FLORA w stroju pracowicie obmyślonym, z jasnym egipskim szalem na ramionach, z wachlarzem,

Czas: Wieczór tego samego dnia. Bezpośrednio po obiedzie.

Na scenie BISKUP, sam jeden, czeka, widocznie przed chwilą wprowadzony. Przez drzwi w głębi wchodzi, pośpiesznie zbliżając się ku BISKUPOWI, PANI REACH HASLAM. Za nią idzie tym samym krokiem PAN REACH HASLAM.

Pani Reach Haslam (od wejścia). Ach, Biskupie! Jak to poczciwie z pańskiej strony, mylordzie (uścisk dłoni).

Biskup (ściskając dłoń pani Reach Haslam). Droga pani, cóż znowu? To ja rumienię się za moją djecezję — rumienię się z powodu tego opłakanego i nieszczęsnego wydarzenia.

Pani Reach Haslam. Więc to już rzeczywiście stwierdzone — naprawdę?

Biskup. Wszystko co mówiłem pani przez telefon jest niestety prawdą.

Pani Reach Haslam. To okropne! Jeżeli oczekiwałam czegokolwiek wbrew nadziei, to tylko tego jednego, że może uda ci się, mylordzie, pomimo wszystko stwierdzić ważność tego małżeństwa.

Biskup (potrząsa głową). Niestety. Jego zmarły ojciec był niewątpliwie prawowitym duchownym, jego zmarły brat także. A on sam nie należał do naszego stanu jak i państwo oboje (Do pana Reach Haslam, który trochę się cofa). Pozwolił sobie na to wskutek swoich związków rodzinnych... W rzeczywistości jedyną jego kwalifikacją były dwie szaty duchowne, jakie pozostały po jego bracie.

Pani Reach Haslam. Zważywszy wszystko, może to i lepiej, że tak jest.

Biskup (zgorszony). Jakto, lepiej — droga pani?...

Pani Reach Haslam. Myślę, że byłoby kłopotliwe, gdyby wiadomości, które nam przynosisz, mylordzie, okazały się w ostatniej chwili pomyślne. Bo w takim razie — — (patrzy na pana Reach Haslam).

Pan Reach Haslam (do którego Biskup zdziwiony zwraca się po wyjaśnienia). Moja żona przy swoim instynkcie powieściopisarskim, przewiduje sytuację, jakaby się wytworzyła, gdybyśmy teraz mieli przejść do salonu i powiedzieć im nagle: „Otóż mimo wszystko jesteście zaślubieni“.

Pani Reach Haslam. Sytuacja byłaby niepospolicie drażliwa. Naturalnie, zechcieliby opuścić nasz dom natychmiast.

Biskup. Ach tak—pojmuję, dokładnie pojmuję. Nie uwierzy pani z jaką swobodą odetchnąłem, kiedy usłyszawszy w telefonie głos pani, dowiedziałem się, że zdołaliście ich jeszcze odszukać dość wcześnie. Młodzi ludzie za naszych czasów taką tajemnicą otaczają swój miesiąc mio-

dowy, że często nawet nie zostawiają pocztowego adresu. Niebezpieczna to inowacja.

Pan Reach Haslam. Jak się to okazało dobitnie na tym przykładzie.

Biskup. Zgaduję, że sprowadziliście tutaj oboje tych biedaków.

Pani Reach Haslam. Zdaje się, że to było najrozumniejsze ze wszystkiego, co mogliśmy postanowić. Radziłam się swego męża i odrazu zgodził się ze mną, że wobec niezwykłych okoliczności działać musimy z jaknajwiększą przezornością—dla ich dobra. Wzięliśmy ich do samojazdu i szybko wróciliśmy z powrotem do miasta, gdzie przybyliśmy właśnie na obiad. Mój syn kierował. Ja siedziałam obok niego. Ponieważ nie było miejsca na ich ciężkie pakunki, Szarli pojechał razem z rzeczami koleją. Mówię o młodszym moim synu Karolu... (wzdycha) I jesteśmy...

Biskup. Przedziwne! Rzecz zatem jasna, że...

Pan Reach Haslam. Najzupełniej jasna. Jakgdybyś sam ich pilnował, mylordzie.

Biskup. O tak, tak właśnie być powinno. Istotnie — straszny to cios dla nich być musiał. A i dla was, i dla was. Przerażający cios! Jakże oni to znieśli?

Pani Reach Haslam. Jakby to powiedzieć — (zwracając się do pana Reach Haslam). Ojcze, jakbyś określił sposób, w jaki oni to znieśli?

Pan Reach Haslam. Ponuro. Tak będzie najtrafniej — w ponury sposób.

Biskup. Ah!..

Pani Reach Haslam. Oczywiście, mylordzie, uważamy to za ułożone, że sprawa może być załatwiona według wszystkich reguł zaraz jutro, nieomylnie i niewątpliwie. Starałam się pokrzepić ich na duchu tem absolutnem zapewnieniem.

Biskup. Ależ droga pani! Bez żadnej wątpliwości. O godzinie tedy... O godzinie trzeciej. Dlatego właśnie przyjechałem do miasta — aby przekonać was moją obecnością o zgrozie z powodu tej... tak... tej zbrodni, aby wyrazić moją sympatję dla niewinnych jej ofiar i moją obecnością determinację, że ceremonja ma być uskuteczniona na nowo jutro w ciągu dnia pod moim osobistym nadzorem i gwarancją. Mam uczucie, że robię wszystko, co zrobić jestem w stanie.

(Przy ostatnich słowach Biskupa wchodzi Cuthbert, drzwiami w głębi, z tacą, na której są listy i wycinki z gazet; za Cuthbertem wchodzi Pokojówka z inną tacą, na której są paczki dzienników).

Pani Reach Haslam. Zechciej wybaczyć, mylordzie, mojemu mężowi, że się zajmie na chwilę pocztą.

Biskup. O, proszę — — (pan Reach Haslam siada przy biurku i przegląda pocztę. Służba wychodzi).

Pani Reach Haslam. Muszę cię przeprosić, mylordzie, za to, że cię przyjmuję w mojej pracowni, ale sądziłam — mój mąż sądził — że będzie lepiej, jeżeli sami tu naprzód rozmówimy się o wszystkiem. Czy masz tam wycinki z gazet, ojcze?

(Pan Reach Haslam potakuje i rozpatruje się w wycinkach).

Biskup. Ale gdyby nie ta nieszczęśliwa przygoda, jakże miłym jest zbieg okoliczności, że nowa książka pani wyszła z druku właśnie w dniu małżeństwa jej syna.

Pani Reach Haslam. Jakto? Nasz Biskup znajduje czas w swojem czynnem życiu zajmować się w dodatku jeszcze i literaturą współczesną — nawet powieściami?

Biskup. N—a—w—e—t powieściami! Droga moja pani — nie znam siły, któraby tak bardzo mogła skłaniać do dobrego.

Pani Reach Haslam. Albo do złego — niestety.

Biskup. Zupełnie słuszna uwaga. Myślałem często — mówiłem o tem nawet z kazalnicy — że są dwie w naszem pokoleniu najpotężniejsze i najpewniejsze dźwignie ku dobremu — twoje powieści, pani, i broszury Narodowego Stowarzyszenia dla Popierania Edukacji Ubogich w Zasadach Ustanowionego Kościoła.

Pani Reach Haslam. Czy być może (do męża). Ojcze, przejrzałeś już wycinki?

Pan Reach Haslam (Zajęty czytaniem). Nie jeszcze.

Biskup. Było to wydrukowane w naszym „Magazynie Djecezjalnym".

Pani Reach Haslam. A jednak, drogi Biskupie, nieraz poczuwałam się do obowiązku krytykować Kościół w dziełach moich w sposób dość ostry.

Biskup. Wiem, wiem. Schylamy głowę w pokorze, całujemy rózgę, która nas chłoszcze.

Pani Reach Haslam. W ostatniej mojej powieści wróciłam znowu do polityki. Czy przeglądałeś ją już, mylordzie?

Biskup. Nie, jeszcze nie. Ale już zamówiłem ją u Boota.

Pani Reach Haslam. U Boota?

Biskup. To oszczędnościowa spółka spółdzielcza. Mamy tam i księgarnię wymienną; uważam, że to bardzo ekonomiczne. Jestem jednym z udziałowców. Wie pani zapewne, że co roku ogłaszam publicznie szczegółowe rachunki z wszystkich moich wydatków osobistych i publicznych. Zbyt wielka suma wydana na książki mogłaby być źle zrozumiana, jako dogadzanie samemu sobie, zwłaszcza w kołach pedagogicznych.

Pani Reach Haslam. Ach, tak... (wręczając mu książkę). Oto egzemplarz.

Biskup. A — jaka ładna okładka.

Pan Reach Haslam (do żony, przyciszonym głosem). Dwadzieścia jeden szpalt.

Pani Reach Haslam (ucieszona). Być nie może.

Biskup (przeglądając książkę). Dwadzieścia jeden szpalt?

Pani Reach Haslam. Traktujemy pana bez ceremonji, drogi Biskupie. Musisz nam przebaczyć. Mój małżonek obliczał właśnie całkowitą długość sprawozdań jakie się ukazały o mojej książce zaraz pierwszego dnia w londyńskich dziennikach. Oczywiście nie przywiązujemy żadnej wagi do tych opinji jakie dzisiaj bywają wypowiadane — krytycy muszą pracować z takim pośpiechem — po większej części tak mało dorośli do swoich zadań ci kochani biedacy — ale w każdym razie rozmiar przestrzeni poświęcony książce jest wyborną wskazówką publicznego znaczenia danego dzieła.

Biskup. (Przeglądając ciągle książkę) Wielka prawda! Głęboka prawda!

Pani Reach Haslam. (Do męża) Nic zresztą szczególnego?

Pan Reach Haslam. Nic. „Przeszła samą siebie“ siedem czy osiem razy. „Arcydzieło“ czternaście razy. Nieżyczliwa jest „Piccadilly Gazette“.

Pani Reach Haslam. Doprawdy?

Pan Reach Haslam. Stanowczo nieżyczliwa.

Pani Reach Haslam. Ciekawa jestem.

Pan Reach Haslam. (Gest lekceważący— czyta) „Książka jest naturalnie przedziwna w obrobieniu, szerokości widnokręgów, świetności myśli ale w gruncie rzeczy, jeśli prawda musi być powiedziana, pani Reach Haslam nie przeszła samej siebie“.

Pani Reach Haslam. Ach, gdybym była o tem wiedziała, przyjmując dzisiaj zrana reporterkę tego dziennika!

Biskup. (Odkładając książkę) Oderwać się nie można! Świetny tok narracyjny! Poprostu oderwać się nie można! (wstając) No, a teraz droga moja pani —

Pani Reach Haslam. (Przerywając mu) Jeszcze chwileczkę, mylordzie! Proszę nie wstawać (Biskup siada) Skoro uniosłeś już, drogi Biskupie, nieco zasłony z mojej literackiej kuchni dziś wieczorem, muszę ci zadać jeszcze kilka pytań potrzebnych mi do mojego zawodu — w sprawie psychologji owego wikarego — samozwańca.

Biskup. Dobrze, dobrze. Psychologja. Zupełnie słusznie.

Pani Reach Haslam. Nigdy nie tracę sposobności zbierania psychologicznego materjału dla moich dzieł. Ojcze, zechciej mi pomódz. Mój małżonek jest tylo uprzejmy, że służy mi za stenografa.

Biskup. Wzruszające!

Pani Reach Haslam. Muszę wyznać, że nie zauważyłam nic szczególnego w tym wikarym.

Biskup. (Potakując) W istocie, nic szczególnego. A jednak, widzi pani — rzecz ciekawa — to jest gentleman! Zupełny gentleman! O, zupełny! Przypominam sobie nawet, że raz spotkałem się z jego ojcem, kiedy byłem kapelanem nadwornym; podczas festynu ogrodowego na rzecz Stowarzyszenia Dodatkowych Wikarych.

Pan Reach Haslam. (Powtarzając ostatnie zanotowane słowa)... Dodatkowych Wikarych.

Pani Reach Haslam. Ale co mogło go skłonić do odgrywania roli właśnie Wikarego. To jest przedewszystkiem interesujące dla mnie, jako dla powieściopisarki. Czemu właśnie Wikarego? Przecież chyba ani dla pieniędzy, ani dla sławy.

Pan Reach Haslam. (Notując) Dla sławy.

Biskup. Przypadek jest wysoce osobliwy... Ten człowiek z pewnością—nie jest pozbawiony ani inteligencji, ani nawet zdolności. Według mojego sądu czyn jego jest właśnie wynikiem posuniętej do niemożliwych granic ciekawości intelektualnej. Mówił mi, że chciał doświadczyć na sobie samym wrażeń życiowych, jakie odbiera duchowny.

Pani Reach Haslam. A wyglądał tak zupełnie zdrowo,

Biskup. O, zupełnie jest zdrów! Zadziwiająca historja, powiadam pani! Brat jego przez rozmaite wpływy u zwierzchniej naszej władzy, dostał miejsce wikarego przy parafji Świętego Zbawiciela w Colchester; oczywiście zebrano o nim przedtem starannie wszystkie informacje. Ten jego brat zajmował wtedy posadę kapelana w Szwajcarji — bardzo przykre zajęcie podczas ostrej zimy. W drodze do kraju dla objęcia miejsca w Colchester, umarł nagle w Paryżu. Otóż znajomy państwa z dzisiejszego porannego obrzędu zupełnie spokojnie przywłaszczył sobie identyczność ze zmarłym bratem. Przybył do Colchester, zdobył zaufanie prostego na duchu plebana i został odrazu wprowadzony do obowiązków. To się działo dwa miesiące temu...

Pan Reach Haslam. (Notując)... miesiące temu.

Pani Reach Haslam. Ależ to był pomysł wysoce niebezpieczny!

Biskup. Na to samo zwróciłem mu głównie uwagę! Odpowiedział mi, że właśnie niebezpieczeństwo pociągnęło go przedewszystkiem, w połączeniu z chęcią zrozumienia, dlaczego członkowie jego rodziny mieli tak namiętny pociąg do stanu duchownego. Zdaje się bowiem,

że dwie jego siostry także zaślubiły duchownych. Jaki to musi być cios dla nich wszystkich?

Pan Reach Haslam. (Notując)... dla nich wszystkich...

Pani Reach Haslam. A dlaczegóż właśnie teraz dopiero zdjęła go skrucha?

Biskup. Otóż, jego wyjaśnienie jest takie, że na widok narzeczonej uległ urokowi piękności...

Pan Reach Haslam. (Notując)... powinności.

Biskup. ...Piękności (gest łagodnego tryumfu ze strony Pana Reach Haslam w stronę Pani Reach Haslam) Dręczyła go myśl, że jego uczynek mógły być powodem, przykrości dla kobiety tak pięknej. Dlatego odrazu przyszedł do mnie z wyznaniem prawdy. Na szczęście tak się złożyło, że byłem właśnie w Pałacu.

Pani Reach Haslam. A czy zdążył już związać jakieś inne małżeństwa?

Biskup. Na szczęście nie. Odprawił tylko dziesięć pogrzebów i cztery chrzty. Ale z bólem muszę to powiedzieć, że z powodu tych czternastu nadużyć nie odczuwa żadnych wyrzutów. I tylko ślub poruszył jego sumienie.

Pan Reach Haslam. (Notując)... sumienie.

Pani Reach Haslam. Naturalnie, mylordzie, posłałeś zaraz po policję?

Biskup. Pocieszam się myślą i wierzę, że siedzi już w więzieniu. Ale ja nie posyłałem po policję. W tych nowożytnych czasach Kościół musi utrzymywać swoją godność wobec judykatury cywilnej. To też wobec tylu miazmatów niereligijności unoszących się w powietrzu — czyż potrzebuję pani o tem mówić! — musimy unikać za wszelką cenę skandalu, a szczególniej lokalnego skandalu. Skandal londyński jest mniej zabójczy. Dlatego też zabrałem z sobą tego młodzieńca do miasta i dopilnowałem, aby wsiadł do dorożki i kazał jej pojechać do urzędu policyjnego, gdzie odda się sam dobrowolnie całej surowości prawa. Wolałem wybrać tę drogę. Może ona jest oryginalna. Ale za naszych czasów my Biskupi musimy być oryginalni.

Pani Reach Haslam. A czy istotnie jest pewność, że odda się w ręce policji.

Biskup. O, jestem tego pewny. Nie mogę mieć pretensji, aby mieć taką biegłość w rozpoznawaniu charakterów, jak droga pani, ale zawsze rozpoznam gentlemana na pierwszy rzut oka.

Pan Reach Haslam (notując)... Rzut oka...

Pani Reach Haslam. Doprawdy, gdyby taką historją opowiedzieć w powieści, niktby temu nie chciał uwierzyć. I to jest właśnie najgorsza strona faktów z życia realnego.

Biskup. A przecież ta przykra sprawa dziwnie mi przypomina postać samozwańczego archidjakona w „Kobiecie z Kent".

Pani Reach Haslam (ucieszona). Ah! Pamiętasz jeszcze mylordzie tę moją dawną książke?

Biskup (protestając). Droga pani! Nie ma pani z pewnością żadnego czytelnika, któryby głębiej niż ja studjował jej książki. I muszę stwierdzić, że od pierwseej chwili uznałem cały epizod z fałszywym archidjakonem za całkowicie przekonywujący. Kwestja prawdopodobieństwa tego epizodu była jednym z niewielu punktów, w których zgadzałem się z opinjami nieboszczyka p. Gladstone'a. „Kobieta z Kent" była zawsze dla mnie najulubieńszą ze wszystkich pani pięknych dzieł. Musiała mieć ogromną poczytność.

Pani Reach Haslam. Ile egzemplarzy, ojcze?

Pan Reach Haslam (nie podnosząc oczu od biurka). Sto siedemdziesiąt dwa tysiące.

Biskup. Przedziwna pamięć!

Pani Reach Haslam. Prawda? Wie wszystko o moich książkach znacznie dokładniej, niż ja sama.

Biskup. Nad wyraz wzruszające (wstając). Niestety — muszę się spieszyć — z prawdziwą przykrością. A więc na którą godzinę umawiamy się jutro? Jestem całkowicie do rozporządzenia.

Pani Reach Haslam. Więc możemy się cieszyć nadzieją, że zechcesz mylordzie osobiście dokonać ceremonji.

Biskup. Osobiście. Zależy mi nawet na tem, ażeby przez moją obecność przy ołtarzu okazać publicznie, do jakiego stopnia zdaniem mojem winni jesteśmy posunąć reperację należną tobie pani—no i wam wszystkim.

Pani Reach Haslam. Sądzę, że uczynimy najlepiej poradziwszy się Flory. (naciska dzwonek). Wiadomo ci, mylordzie, że pierwotnym już moim zamiarem było prosić cię o przewodniczenie ceremonji. Ale młoda para nalegała na to, aby ślub wziąć z rąk zwykłego wikarego... niewątpliwie przez skromność, drogi Biskupie... Jakże żałuję, że dałam się odwieść od pierwszego mojego postanowienia.

(Wchodzi Cuthbert, drzwiami z głębi).

Pani Reach Haslam. Czy pani Lloyd jest w salonie?

Cuthbert. Tak, pani.

Pani Reach Haslam. Z panem Cedrikiem?

Cuthbert. Nie, pani. Jest sama.

Pani Reach Haslam. Powiedz jej zatem, że będziemy bardzo obowiązani, jeżeli łaskawie zechce zaraz przyjść tutaj do nas.

Cuthbert. Tak, pani.,. Proszę pani—przedstawiciel „Piccadilly Gazette", zgłosił się właśnie po informacje.

(C. d. n.).

(Dokończenie).

Pani Reach Haslam. „Piccadilly?“ (do męża). Ależ to zuchwałość! (do Cuthberta). O cóż to chodzi? (Cuthbert czyni gest zakłopotania). Powiedziałeś mu oczywiście, żeby się zgłosił jutro?

Cuthbert. Nie, pani. Ten pan czeka.

Pani Reach Haslam. Ojcze, zachciej może sam wyjść do niego. (Cuthbert wychodzi). Dziwię się doprawdy Cuthbertowi. (do Biskupa). Bezwzględnie postanowiliśmy nie przyjmować dziennikarzy w godzinach poobiednich. Wiadomo ci, mylordzie, że nienawidzę rozgłosu. Stąd nasze postanowienie. A Cuthbert pozwala temu człowiekowi czekać.

Pan Reach Haslam (idąc ku drzwiom). Cuthbert przestał być sobą. Wypadki dnia zachwiały nim poprostu. Wysiłek utrzymywania, że nie stało się nic nadzwyczajnego musi być czemś straszliwem. Jak mam postąpić z tym najezdnikiem?

(Biskup zagłębia się w powieści).

Pani Reach Haslam. Otóż, nie wspominając na razie zupełnie o recenzji, może będziesz mógł dać mu do zrozumienia przez odpowiednie akcenty...

Pan Reach Haslam. Ci dziennikarze są tak tępi, ale ja już — —

Pani Reach Haslam. Może mu powiesz, że nie możemy zrozumieć, jakim sposobem czysto prywatne sprawy mogą interesować publiczność, ale jeżeli to musi mieć już rozgłos, niech mu wystarczy, że Biskup jest tu w swojej własnej osobie i — — (Pan Reach Haslam potakuje na znak zrozumienia). Przyznajesz, że tak będzie najwłaściwiej?

Pan Reach Haslam. W zupełności (Wychodzi drzwiami w głębi).

Biskup (odkładając książkę). Oderwać się nie można.

(Wchodzi Flora drzwiami z lewej).

Pani Reach Haslam. Floro, mój skarbie, oto jest Biskup z Colchester — pani Lloyd — moja — ehm — przyszła synowa.

Flora (sztywno). Mylordzie...

Biskup. Droga piękna pani, ja już starałem się wyrazić pani Halsam moją konsternację, mój wstyd, z powodu — —

Flora (z chłodnym uśmiechem). Niezawodnie — wystarczyło to najzupełniej.

Pani Reach Haslam. Biskup przyjechał specjalnie do miasta, ażeby być u nas, Floro. Ażeby zapobiedz jakiejkolwiek możności dalszych przypadków, był tak uprzejmy, że raczył sam zaproponować przewodniczenie osobiście jutro waszemu ślubnemu obrzędowi.

Flora (do Biskupa). Istotnie to bardzo łaskawie z pańskiej strony, mylordzie.

Pani Reach Haslam. Nieprawdaż?

Biskup. Idzie już tylko o to, o której godzinie. Jestem całkowicie do waszego rozporządzenia, moi państwo.

Flora. O — godzina jest obojętna...

Biskup. A więc jeżeli państwo użyjecie pociągu: dziewiąta — minut piętnaście...

Flora. Tak — to będzie bardzo dobrze.

Pani Reach Haslam. Gdzież jest Cedric, najdroższa?

Flora. Nie mam pojęcia. Poszukać go może? (wychodzi na lewo).

Biskup. To śliczne dziecko jest najwidoczniej bardzo zgnębione.

Pani Reach Haslam. Jak i my wszyscy.

Biskup. Czarujące stworzenie! Kim był ten pan Lloyd?

Pani Reach Haslam. O ile wiem, coś tam robił na giełdzie. Pochodził z Colchester i miał dom w zewnętrznej dzielnicy.

Biskup. Czy być może? Nie spotkałem go nigdy. Czy zostawił duży majątek?

Pani Reach Haslam. O, nie... Dom, i zdaje mi się — niewiele więcej.

Biskup. Prawdopodobnie podziw dla dzieł pani był pierwotną podstawą zbliżenia — hm —

Pani Reach Haslam. O, nie! Z panią Lloyd zapoznał mnie pierwotnie, Charlie, mój drugi syn. Mówiąc między nami, mój Biskupie, myśleliśmy, że to oni oboje pobiorą się.

Biskup. Niebo jednak zdecydowało inaczej.

Pani Reach Haslam. Zdecydował inaczej Cedric.

(Wchodzi Pan Reach Haslam, drzwiami w głębi).

Pan Reach Haslam. Flora mówi mi, że wszystko już ułożone na jutro.

Biskup. A jakże! Właśnie dowiaduję się od pani Haslam, że ta urocza młoda osoba budziła zachwyt w obu pańskich synach.

Pan Reach Haslam. Zachwyt ogólny. Uchwyciła całą rodzinę.

Biskup. Ha — ha! (poważnie). Czarujące stworzenie!

Pani Reach Haslam. Czy Charlie już wrócił?

Pan Reach Haslam. Nie jeszcze.

Pani Reach Haslam. Jeżeli nie wróci zaraz, boję się, że spóźni się do biura. A nie spał dzisiaj, biedny chłopiec (do Biskupa). Mój Karol jest wiceszefem w departamencie technicznym dziennika „Daily Sen tinel“ i pracuje od wpół do dziesiątej wieczorem do trzeciej z rana.

Biskup. Ach! co za wysiłek! Jakże mało zdajemy sobie sprawę z tego, otwierając przy śniadaniu nam ulubiony dziennik — ja zawsze czytam „Daily Sentinel“ — jak mało o tem myślimy, jakiego to ogromu pracy potrzeba — —

(Wchodzi Karol, drzwiami z głębi).

Karol. Ach, mamo — nie ma ani śladów obiadu dla mnie w pokoju jadalnym. Wpakowaliście mi na kark bagaże i wszystkie te szkaradne kłopoty.

Pani Reach Haslam. Karolu, Biskup z Colchester...

Biskup. Już spotkaliśmy się kiedyś, jeśli się nie mylę (uścisk dłoni). A teraz, drogi panie Haslam (patrzy na zegarek) mam tylko pół godziny czasu, aby znaleźć się na Liverpool — Street.

Pani Reach Haslam. Wracasz, mylordzie, wieczorem jeszcze do Colchester?

Biskup. Rozumie się. Koniecznie. O północy mam procesję nawróconych pijaków. Słyszałaś pani pewnie, że nazywają mnie „Biskupem pijaków". Jestem dumny z tego tytułu.

Pani Reach Haslam (ściskając rękę Biskupa). Jakże to zacnie było z twojej strony, mylordzie, żeś nas raczył odwiedzić.

Biskup. O cóż znowu. To ja jestem nieskończenie zobowiązany za pani pobłażanie... Nasza krótka znajomość nie minie może bez pewnych następstw. Czy mogę mieć nadzieję, że jeśli kiedy przyjdzie pani na myśl dodać jakiego Biskupa do wspaniałej galerji stwarzanych przez panią portretów współczesnych—a ja mógłbym się na co przydać — czy potrzebuję mówić więcej?...

Pani Reach Haslam. Ja już stworzyłam dwóch dotychczas.

Biskup. Doprawdy? Czy być może?

Pani Reach Haslam. Sufraganów wprawdzie...

Biskup. Aa... sufraganów! Dwóch Biskupów z pewnością nie byłbym zapomniał! — Do jutra zatem, do południa. Do jutra, młodzieńcze (uścisk ręki z Karolem).

Pani Reach Haslam. (Do pana Haslam, który odprowadza Biskupa) Ojcze, zechciej pomówić energicznie z Cuthbertem w sprawie obiadu dla Charlika.

(Wychodzą Biskup i Pan Reach Haslam drzwami w głębi).

Karol. A Biskup tu poco?

Pani Reach Haslam. Przyszedł specjalnie, żeby umówić się z nami na jutro. Spełnił swój obowiązek.

Karol. Na jutro?..

Pani Reach Haslam. Tak — o ślub Cedrika.

Karol. Ach, tak — istotnie — zapomiałem.

Pani Reach Haslam. Doprawdy Karolu z każdym rokiem stajesz cię coraz mniej przytomny. Cedric bardzo dobrze zrobił, że ci nie pozwolił zajmować się aeroplanami. Ślub odbędzie się jutro w południe. Wyjeżdżamy o dziewiątej piętnaście.

Karol. Znowu z całym bagażem! Było daleko prościej zostawić to wszystko na miejscu. Siedem kufrów! Co wszystko razem z dorożkami, napiwkami, biletami, frachtami i specjalnym omnibusem kosztowało funt szterling trzydzieści szylingów, nie licząc kosztów całej straty śniadania, obiadu i nerwów.

Pani Reach Haslam. Entuzjazmujesz się zawsze dla strojów Flory. Widzisz — ma to swoje, i złe strony. Zrobiliśmy jak można było najrozsądniej. Nie mogliśmy przewidzieć dokładnie co się stanie. Na szczęście Biskup zrozumiał odrazu, że było jego obowiązkiem wziąć całą sprawę w swoje ręce.

Karol. O ile słyszałem, Biskup przedewszystkiem zrozumiał, że ma szansę figurować w jednej z przyszłych powieści mamy.

Pani Reach Haslam. To także być może...

Karol. (Naśladując Biskupa) „Czyż potrzebuję mówić więcej"! Ależ nadęty okaz!

Pani Reach Haslam. Karolu —

(Wchodzi Cedric, drzwiami z lewej).

Cedric. Poszedł sobie wreszcie ten miły Biskup? Zaczynałem przypuszczać, że zamierza u nas nocować.

Pani Reach Haslam. Cedriku! Ja, doprawdy jestem zawsze bardzo pobłażliwa, ale doprawdy—nie rozumiem, co was teraz napadło.

Cedric. Przepraszam, matko (do Karola) A — już wróciłeś?

Pani Reach Haslam. Czy Flora ci mówiła, że wszystko jest już umówione na jutro w południe?

Cedric. Nie — nie widziałem się z nią teraz.

Pani Reach Haslam. A więc tak — już wszystko postanowione. A teraz moi chłopcy, moja pracownia jest już dla mnie potrzebna. Mój artykuł dla „Magazynu Harpera" musi być absolutnie skończony dzisiaj w nocy. Wasz ojciec i ja potrzebujemy zupełnego spokoju do pracy.

Karol. Ale, ale... Rik! Co mówisz na sprawę Klopstocka. Naturalnie czytałeś dzienniki (Cedric potakuje):

Pani Reach Haslam. A tak, właśnie miałam mówić o tem z tobą, Cedriku. Ale doprawdy, tyle mam dziś na głowie — i jeszcze ten artykuł w dodatku. Fatalnie się wszystko składa, doprawdy.

Karol. Spotkałem na Liverpool — Street jednego z naszych redaktorów. Był cokolwiek poruszony tą sprawą. A muszę ci powiedzieć, że nie często się zdarza, żeby nasi redaktorzy czem się wzruszali.

Cedric. (Siada na sofie) O...

Karol. Mówił mi, że odebrał właśnie depeszę z Wrocławia donoszącą, że Klopstock odbył próbę lotu przez górę zupełnie takiej wyso-

kości jak Snowdon — i że powiodło mu się wybornie...

Cedric. Powiodło mu się, powiadasz?

Karol. I ma być tutaj u nas za tydzień albo za dziesięć dni. W redakcji chcą wiedzieć dokładnie, co zamierzasz uczynić. Powiedziałem, że będę się z tobą widział dzisiaj wieczorem i że przyniosę im w nocy oficjalne twoje orędzie. Musiałem trochę opowiedzieć o tem wszystkiem, co się u nas stało — nie można było inaczej. Sądzę, że będziesz musiał przerwać w przyszłym tygodniu swój miesiąc miodowy i zabrać się do dzieła.

Pani Reach Haslam. Prawdziwa przykrość dla ciebie, mój drogi, i dla Flory także.

Cedric. Nie — ja się muszę wyrzec tego lotu.

Karol. Nie zechcesz przecież pozwolić Klopstockowi —

Cedric. Nie mogę niczem się zająć przed końcem pełnego miesiąca.

Karol. Więc to znaczy, że ustępujesz niemcowi pierwszeństwa i dajesz mu trymfować.

Cedric. Jeżeli Klopstock umyślnie wybiera mój miesiąc miodowy na swój lot — cóż ja na to mogę poradzić. Niech kto inny go uprzedzi. Przecież nie jestem jedynym awiatorem w Anglji, zrozumiejcież to u licha!

Pani Reach Haslam. Cedriku!

Karol. Jesteś jedynym awiatorem w Anglji, który może zwyciężyć Klopstocka w locie przez Snowdon.

Cedric. Nic na to nie mogę poradzić.

Pani Reach Haslam. Ależ Cedricu — przecież to twój obowiązek — —

Cedric. Oh! oh... — — (urywa).

(Wchodzi Flora. Skoro tylko spostrzega Cedrika, który był zasłonięty przed nią ekranem, czyni gest, jakby chciała opuścić pokój).

Pani Reach Haslam. (Przywołuje ją) Floro!

Flora. (Z robioną prostotą) Wróciłeś już, Charlie! Trzeba być aniołem żeby się tak poświęcać dla moich kufrów.

Karol. Ah, bagatela (przyglądając się Florze) Jak widzę miałaś na szczęście przynajmniej jedną suknię w walizce podręcznej... Rozmawialiśmy tu właśnie o locie Snowdońskim. Podobno zdecydowaliście oboje —

Flora. Nie doprawdy — nie zdecydowaliśmy niczego. To Cedric sam zdecydował. Wszystkie sprawy odnoszące się do aeroplanów, skierowywane być powinny do szefa departamentu lotniczego a nie firmy.

Cedric. (Wstając, z tłumionem rozdrażnieniem) Powtarzam wam, że niczem się zajmę przed upływem pełnego miesiąca (wychodzi, drzwiami na lewo).

Karol. (Starając się przerwać ogólne zakłopotanie, wywołane nagłem wyjściem Cedrica, — w żartobliwym ale serdecznym tonie) Zdaje mi się, że wartość kości Cedrica wzrosła w oczach pani Flory od chwili, kiedy został małżonkiem.

Pani Reach Haslam. Nie przypuszczasz chyba, droga Floro, aby ten lot przedstawiał jakieś szczególniejsze niebezpieczeństwa.

Flora. Oczywiście, że nie!.. Gdybym nie była przekonana, że Cedric jest tak bezpieczny w aeroplanie, jak Charlie w automobilu, Paderewski przy końcu koncertu, a minister na mityngu publicznym, czyż posunęłabym się aż do tego, żeby go zaślubiać?

Pani Reach Haslam. A jeżeli tak, to zważywszy, jak doniosła jest ta sprawa dla kraju...

Flora. Trzeba o tem mówić z Cedrikiem. Ja nie mięszam się do interesów.

(Wchodzi Cuthbert drzwiami z głębi).

Cuthbert. Jakiś pan Frampington, proszę pani, przyszedł, żeby się zobaczyć z Biskupem. Powiedziałem mu, że Jego Wielebność już odszedł, ale teraz powiedz, że chcę mówić, albo z panią albo z panem Haslam.

Pani Reach Haslam. Frampington? A gdzież jest pan?

Cuthbert. Pan zdaje mi się poszedł w tej chwili do kuchni, proszę pani.

Pani Reach Haslam. Frampington?

Karol. Czy to przypadkiem nie nazwisko tego przyjemniaczka, który nam dziś zrana zrobił takiego figla?

Flora (rozglądając się znowu, nagle). Pseudo-wikary? Rzeczywiście, tak się nazywał.

Cuthbert. Wcale nie jest podobny do duchownego, proszę pani.

Flora. A, więc tak — to on! O, jeżeli to on, niechże tu przyjdzie. Musi być nadzwyczajnie interesujący, jako człowiek świecki (do Cuthberta): Proszę go prosić...

(Cuthbert wychodzi).

Pani Reach Haslam. Ależ, Floro — doprawdy, nie mogę zrozumieć, co was wszystkich opanowało.

Flora. Zdaje mi się, że to poprostu ów wikary opanował nas wszystkich.

(Wchodzi Cuthbert, wprowadzając Frampingtona).

(Frampington jest w kostjumie turystycznym).

Frampington (w tonie zupełnie naturalnym i swobodnym). Państwo darują, że spotykamy się znowu. Bardzo mi przykro, że muszę niepokoić szanowną panią Haslam, ale jestem w małym kłopocie i miałem nadzieję, że znajdę tu Biskupa.

Pani Reach Haslam. Biskup wyszedł stąd przed kilku minutami.

Flora. Zechciej pan zająć miejsce (oburzony błysk oczu ze strony pani Reach Haslam. Frampington siada, nie tracąc ani przez chwilę pewności siebie i spokoju). Czy można się dowiedzieć, co to za mały kłopot, o którym pan wspomina?

Frampington (po krótkim wahaniu). Przypuszczam, że Biskup wytłumaczył już państwu wszystko.

Pani Reach Haslam. O tyle, o ile to wszystko można wytłumaczyć wogóle.

Frampington. Bardzo się cieszę. Położenie moje jest zatem znacznie łatwiejsze. Nie wątpię, że Biskup zakomunikował państwu moje przeproszenia i ubolewania, o których złożenie miałem zaszczyt go prosić.

Flora (do pani Reach Haslam). Biskup mówił coś o tem?

Pani Reach Haslam. Nie. Biskup mówił tylko w swojem własnem imieniu.

Frampington. O, to niegrzecznie z jego strony.

Pani Reach Haslam. Mówił nam natomiast, że uważa pana za gentlemana...

Frampington. Mocno obowiązany...

Pani Reach Haslam. ...I że pan przyrzekłeś udać się do urzędu policyjnego i oddać się w ręce władzy dobrowolnie.

Frampington. Najściślej zgodne z prawdą. Po rozstaniu się z Biskupem, uczułem się jednak nieco głodny i musiałem coś zjeść. Wkrótce już potem znalazłem się wszakże w urzędzie policyjnym na Vine-Street. Niestety — nie chciano mnie zamknąć.

Pani Reach Haslam. Nie chciano pana zamknąć?

Frampington. Odmówiono mi tego najformalniej. Nie chciano nawet zapisać mego nazwiska.

Pani Reach Haslam. Chyba nie opowiedziałeś pan dokładnie coś pan uczynił?.. Nie przyznałeś się do swojej zbrodni.

Frampington. Przeciwnie — nie pominąłem najmniejszego szczegółu.

Flora. Czyżby to, co pan uczynił nie było przestępstwem?

Frampington. O tak! To było przestępstwo — co do tego niema żadnej wątpliwości. O ile Biskup zna przepisy prawne i o ile ja je znam. to pociąga za sobą karę trzech lat więzienia; muszę jednak zastrzedz się, że księgarnia episkopalna w Colchester nie jest bardzo zasobna w książki z dziedziny kryminalnego prawa. Głównie obfituje w dzieła i broszury z zakresu wegeterjanizmu i pijaństwa...

Pani Reach Haslam (przerywając). Może to być bardzo naiwne z mojej strony, panie —

Framdington. ...Frampington.

Pani Reach Haslam. ...ale nie mogę mogę żadną miarą zrozumieć, po co pan tu przyszedłeś?

Flora. Pan Frampington przyszedł zapewne opowiedzieć nam, jak się to stało, że urząd policyjny okazał mu tak mało gościnności.

Frampington. Poprostu, inspektor nie chciał uwierzyć całej mojej historji. Myślał, że się uwziąłem, aby zadrwić z powagi władzy.

Flora. A czyż tak nie jest w gruncie rzeczy?

Frampington (poważnie). Zależy od punktu widzenia. Jestem pewny, że opowiadanie moje byłoby znacznie więcej przekonywujące, gdybym się był pojawił w stroju duchownego. Ale Biskup nalegał, żebym zrzucił sutannę. Musiałem więc włożyć jedyny kostjum, jaki miałem. A przytem zdaje mi się, że wybrałem wieczór niewłaściwy. Policja wykryła właśnie tajemne związki wiwisekcjonistów — urząd na Vine-Street był przepełniony studentami medycyny. W gruncie rzeczy mam podejrzenie, że wszystkie cele były zajęte. A przytem zorjentowałem się zbyt późno, że nie powinienem był iść na Vine-Street. Urząd policyjny przy tej ulicy specjalizuje się w sprawach właściwych charakterowi dzielnicy West-End — złodziejstwach, oszustwach, arystokratycznych rozpustach i tym podobnych zbrodniach. Tam już są takie wydrążone łożyska wymiaru sprawiedliwości. Ale był to jedyny urząd policyjny z jakim miałem osobistą znajomość—z jakichś wspomnień studenckich. I dlatego tam się udałem. To był błąd.

Pani Reach Haslam. Przypuszczam, że zamało pan nalegał.

Frampington. Przeciwnie. Nalegałem. Nalegałem tak bardzo, że w końcu inspektor przerwał posłuchanie i zagroził mi, że jeżeli się natychmiast nie wyniosę, każe mnie odstawić na policyjny odwach.

Pani Reach Haslam. A to panu wystarczało, łaskawy panie?

Frampington (zdziwiony pytaniem, odpowiada niedbale). To było nawet za dużo. Naturalnie, chciałem być zamknięty za to, co uczyniłem. Nadmienić muszę, że zdaniem inspektora byłem pijany — zapewne dlatego, że byłem tak spokojny. Jeden z konstablów utrzymywał, że— hm — czuć było odemnie spirytus.

Pani Reach Haslam. A tak nie było?

Frampington. Z pewnością nie! Oprócz pół butelki Bordeaux, które wypiłem u Ritza, zapewniam, że nie miałem żadnego innego napoju w ustach.

Flora. U Ritza?

Frampington. Czemużby nie, łaskawa pani?

Flora. Zapewne — czemużby nie...

Frampington. Restauracja Ritza jest w pobliżu Vine-Street. To był mój ostatni wieczór

wolności, a zatem — (zwracając się do pani Haslam)—Pani, jako powieściopisarka pojmie, że chęć spożycia dobrego obiadu była w tych warunkach zupełaie naturalna.

Pani Reach Haslam. Pojmuję przedewszystkiem jedno, że pan tu chyba przyszedł dla przyjemności słuchania samego siebie.

Frampington (wstając z miejsca — swobodnie). Najmocniej .przepraszam panią. Przyszeszedłem tu prosić Biskupa, aby mi towarzyszył do urzędu policyjnego, dla stwierdzenia moich zeznań. Kiedy pani kamerdyner powiedział mi, że już go nie ma, przyszło mi na myśl, że może którykolwiek z członków rodziny pani zechce udać się wraz ze mną — dla ustalenia mojej identyczności.

Pani Reach |**Haslam.** Charlie, może ty, idąc do redakcji, zechcesz po drodze wstąpić z tym panem —

Karol. Wszystko to dobrze, ale — —

Frampington. Byłoby to bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Sądzę jednak, że musimy sprobować pójść do innego urzędu. Urząd na Bow-Street będzie lepszy — bardziej klasyczny — tylko czy nie zadaleko zboczy pan z drogi?

Flora. A czy nie byłoby najrozsądniej, gdyby pan poszedł na Liverpool-Street?

Frampington. Ależ na Liverpool-Street nie ma wcale stacji policyjnej?

Flora. Istotnie, może niema. Ale jest za to stacja kolejowa. Colchester nie jest jedyną miejscowością, do której się można stamtąd dostać. Można pojechać do Harwich naprzykład, a stamtąd na kontynent — (uśmiecha się).

Pani Reach Haslam (po cichu). Ależ Floro. Nawet przebaczenie chrześcjańskie nie może się posuwać zbyt daleko.

Frampington (do Flory). Mógłbym być łatwo schwytany. A] przytem, mówiąc szczerze, wolę wybrać te nowe wrażenia, które się przedemną otwierają. To nie może trwać zbyt długo. A nowe wrażenia — o to moja pasja.

Flora. Ależ to historja bardzo poważna. Zapewne, że skarzą pana zbyt ostro, ale kiedy pan wyjdzie z więzienia, będzie pan rozbitkiem społecznym.

Frampington. O, niema obawy. Za dwa lata mam objąć w posiadanie majątek dwudziestu tysięcy funtów szterlingów.

Flora. Rozumiem.

Frampington (do Karola). Mogę zatem liczyć na pańską pomoc (ukłon pożegnalny w stronę pani Haslam). Pani. (do Flory). Wysoce sobie cenię sympatję, którą pani raczyła mi okazać... Proszę przyjąć najszczersze przeproszenia za chwilową przykrość, jaką pani sprawiłem. Zapewniam panią, że dziś zrana nie zdawałem sobie sprawy z okropnej wagi tego, co uczyniłem.

Flora. Ani ja nie zdawałam sobie sprawy z tego samego. Bądź co bądź, życzę panu szczęścia. (Podaje mu rękę, ku głębokiemu zdumieniu Pani Reach Haslam).

(Frampington idzie ku drzwiom. Karol wahając się, idzie w tym samym kierunku — potem zatrzymuje się).

Karol (do Frampingtona). Zechce pan na mnie zaczekać przez chwilę w naszym hallu, dobrze?

Frampington. O, z ochotą! (Wychodzi drzwiami z głębi).

Pani Reach Haslam (zwracając się do Flory). Muszę przyznać, Floro, że nie często m się zdarza oniemieć ze zdumienia —

Karol. Posyła mnie mama z tym lunatykiem, a nikt tu o tem nie pomyślał, że nie jadłem do tej pory obiadu. Nawet nie miałem czasu umyć się...

Pani Reach Haslam (ciągle jeszcze do Flory). Jak mogłaś mu podawać rękę, Floro! Twoje zachowanie było prawie serdeczne!

Flora. Bo też i mój nastrój wewnętrzny był prawie serdeczny.

Karol. Nie pomyślałaś o tem chyba, co to za człowiek!

Flora. Jakikolwiek jest, ocalił mnie przed czemś, o czem nie mogę już myśleć bez przerażenia.

Pani Reach Haslam. Przed czem ocalił?

Flora. Mogę wam już to teraz powiedzieć stanowczo — Cedric i ja nie weźmiemy jutro ślubu.

Pani Reach Haslam. Nie weźmiecie jutro ślubu...!? (urywa ze zdumieniem). Ale przecież umówiłaś się właśnie z Biskupem.

Flora. Istotnie. Ale to tylko przez tchórzostwo. Nie miałam odwagi powiedzieć mu wprost. Zdawało mi się, że będzie znacznie wygodniej, jeżeli załatwimy to telefonicznie, niż ustnie.

Pani Reach Haslam. My?! Ale — ale dlaczego nie jutro? Czy to zły dzień? Co masz przeciwko niemu?

Flora. O, nic! Jutro nie jest wcale gorsze, niż inne dni. Ale poprostu nie pobierzemy się wcale.

Pani Reach Haslam. Ale przecież jesteście już pobrani — faktycznie jak sądzę — —

Flora (zaprzecza ruchem głowy) Nie — nawet teoretycznie —

Pani Reach Haslam (w tonie uroczystym). Ja już jestem starsza kobieta. I ciężko pracuję. Strasznie zalegałam z moją robotą. Nigdy dotychczas nie złamałam żadnej umowy i muszę dziś w nocy skończyć artykuł do „Magazynu Harpera“ o sposobach zapobiegnięcia zmniejszaniu się ludności w Londynie. Temat jest bardzo drażliwy dla popularnego magazynu i aby go opanować,

muszę mieć umysł swobodny. Zechciej mi powiedzieć dokładnie o co ci chodzi, bez wysiłków popisywania się z tem, że masz dowcip.

Flora. O, doprawdy, jestem tem wszystkiem zmartwiona. Bardzo zmartwiona. Jeżeli mam dowcip; proszę mi wierzyć, że jest bardzo powierzchowny. Wszystko, co mogę powiedzieć, jest tylko to, że pomiędzy mną a Cedrikiem zaszły nadzwyczaj poważne różnice poglądów w zasadniczej sprawie i że niema nadziei ich pojednania — i wobec tego nie pobierzemy się.

Karol. Ładna historja.

Pani Reach Haslam. Tego było tylko potrzeba, aby dopomódz mi do pisania artykułu (do Flory). Zdaje mi się, że powinnam naśladować twój spokój.

Flora (ujmująco). O, bardzo proszę.

Pani Reach Haslam. Kiedyż to postanowiliście razem z Cedrikiem?

Flora. My tego wcale nie postanowiliśmy. Czyż byliśmy przez chwilę sami od czasu jak wyjechaliśmy z Pixton. Ja sama to postanowiłam. Wszak jedna strona może o tem zadecydować.

Pani Reach Haslam. Czy chcesz przez to powiedzieć, że Cedric nie wie jeszcze o tem, o czem zawiadomiłeś mnie przed chwilą?

Flora. Chyba — gdyby podsłuchiwał pod drzwiami. Zawiadamiam o tem panią wprzód niż kogokolwiek innego.

Pani Reach Haslam. Niezawodnie mąż mój i ja zauważyliśmy, że zaszła u was jakaś zmiana. Przypisywaliśmy to wstrząśnieniu i przykrości.

Flora. Z powodu przypadku z Frampingtonem? O bynajmniej. Przypadek podobny może się zdarzyć wszystkim biorącymi śluby. Powodem naszego zachmurzenia była tylko straszliwa obawa.

Pani Reach Haslam. Straszliwa obawa?

Flora. Straszliwa obawa, że żadne z nas nie będzie miało odwagi skorzystać ze skrupułów sumienia, jakie ogarnęły pana Frampingtona...

Pani Reach Halam. Odwagi? Twoja odwaga, pani Floro, doprawdy zadziwia mnie.

Flora. Ach, ona nawet i mnie zdumiewa. A więc, zechce pani powiedzieć to Cedrikowi.

Pani Reach Haslam. Ja? (Patrzy na nią— i uroczyście wchodzi—drzwiami na lewo).

Flora. Czy i ty także, Charlie, jesteś jak piorun rażony?

Karol. Katastrofa była w powietrzu. Góra Snowdon walczyła z miesiącem miodowym.

Flora. Ta przenikliwość przynosi ci zaszczyt, Charlie. W twoim żarcie tkwi jądro prawdy.

Karol. Już dziś zrana, zaraz przy naszym wtargnięciu do hotelu w Pixton spostrzegłem, że coś między wami zaszło. Przypominasz sobie pierwsze moje pytanie — co się wam stało. A przed chwilą, kiedy zapytywałem Ricka co zamierza uczynić, nie potrzeba było zbyt wielkiej przenikliwości, aby zrozumieć, że zaczęliście swoje pożycie od sceny małżeńskiej.

Flora (zmieszana). Więc proszę cię... Jakież jest twoje zdanie? Czy Snowdon powinien był zwyciężyć?

Karol. Hm... To sprawa istotnie djablo ważna.

Flora. Wiem o tem. Ale musisz mi przyznać, że sprawa miodowego miesiąca jest do pewnego stopnia ważniejsza.

Karol (smutno). Być może... W pewnych wypadkach... mogłaby być ważniejsza.

Flora. O jestem pewna, że nie byłbyś się wahał, gdybyś był na miejscu Cedrika.

Karol. Ależ, Floro, wszakżeż on ci ustąpił, o ile z tego—co mówił można wnosić?

Flora. Tak, ale wbrew swojej naturze.

Karol. No—na to, to już nic nie mógł poradzić?

Flora. O, mylisz się Charlie.

Karol. Czyż mylę się?

Flora. Jakto — nie mógł poradzić? Jeżeli Cedrik nie może silniej panować nad swojemi nastrojami, w zasadniczej sprawie, w pierwszym dniu pożycia, tem gorzej dla niego i dla mnie.

Karol. Może masz i słuszność.

Flora. Są rzeczy, które ty, Charlie znacznie lepiej pojmujesz niż Cedrik.

Karol. Ja to zawsze powtarzam, tylko nikt mi wierzyć nie chce.

Flora. To prawda... Czy wiesz, że cała się trzęsę?

Karol. Z wzruszenia? (Flora potakuje) Wierzę ci, ale nikt tego nie dostrzegł.

(Wchodzi Cedric z lewej strony).

Cedric (zatrzymuje się we wpół otwartych drzwiach). (Do kogoś znajdującego się w pokoju, z którego przychodzi). O co chodzi? (Wraca się, skąd wszedł, zostawiając drzwi otwarte).

Flora. Teraz zostaw mnie samą. Zapomniałeś, że czeka na ciebie pseudo-wikary.

Karol. A niech go tam czarci porwą.

Flora. Nie powinieneś być przy naszej rozmowie—pojmujesz to przecież?

Karol. Odprawiasz mnie w najbardziej zajmującej chwili. A kiedy wrócę z redakcji, już będziesz spała.

Flora. Pewnie—ale—sądzę, że wszyscy jutro bardzo wcześnie wstaniemy. No—teraz do widzenia,—zanim Cedrik tu wejdzie.

Karol. Więc to wszystko naprawdę serjo?

(Flora potakuje) Więc jutro nie jedziemy do Colchester?—(Flora ściska go za rękę). Ani jutro, ani nigdy? (Flora ściska go za rękę. Karol odchodzi zwolna ku drzwiom). Nie mogę się z tem oswoić, brak mi jakoś w tem wszystkiem wewnętrznej prawdy. Ale—ale—

Flora. Co takiego?

Karol. Bądź tak dobra poprosić ojca albo matkę, aby dziś w nocy nie zapomniano mi zostawić chociaż kolacji. I coś pożywnego, na miły Bóg!

(Wchodzi Cedric).

Flora. Dobrze, dobrze.

(Karol wychodzi, drzwiami w głębi).

Karol. Widzę, że matka powiedziała ci już wszystko, Cedric. To lepiej. Nie mam nic więcej do dodania.

Cedric (siadając). Złóż mi przynajmniej gratulację, że cios swój tak spokojnie znoszę.

Flora. Więc pocóż ta nasza rozmowa i dlatak na mnie patrzysz?

Cedric. Prosta ciekawość. Otrzymawszy od matki tę niesłychaną wiadomość nie mogłem się oprzeć chęci usłyszenia od ciebie jakichkolwiek komentarzy. I żeby je usłyszeć — przyszedłem.

Flora. Uczyniłam to, co mogłam uczynić najlepszego. Starałam się naśladować prostotę naszego pseudo-wikarego. Nie widziałeś go dziś wieczorem, ale mogę cię zapewnić, że ten człowiek posunął prostotę tak daleko, jak jeszcze nikt nigdy przedtem... Lękałem się, że jeżeli nie uczynię tego odrazu, nie uczynię tego nigdy. Czas byłby upływał, myślałbym o tem jak to zrobić w ładny, miły, taktowny, właściwy sposób,—i nie uczyniłabym tego nigdy, nigdybym nawet tego zacząć nie mogła. Ostatecznie znaleźlibyśmy się jutro w Colchester, matka twoja i Biskup zahypnotyzowaliby nas zupełnie. Takiej rzeczy, Cedric, przygotowywać nie można. To musi być rzucone odrazu jak pocisk—tak jak ja to rzuciłam. Najgorszy jest zawsze początek, a nie koniec.

Cedric. Nie słyszę dotychczas argumentów.

Flora (wskazując głową drzwi na lewo) Wyjaśniłeś jej skąd to poszło?

Cedric. Prawie się nie dopytywała. Bąknąłem coś niecoś odpowiedniego, zresztą przyjąłem to w mój zwykły milczący sposób. Pojmujesz zresztą, że trzebaby było wiele długich wykładów, aby jej dokładnie przedstawić genezę całej sprawy.

Flora. Sądzę, że powinnam jaknajprędzej wyjechać. Gdzie jest teraz twoja matka?

Cedric. Opowiada teraz pokrótce o tem co zaszło—głowie rodziny.

Flora. Cedrik bądź szczery! Czy nie masz uczucia, że zrzuciłam wielki ciężar z twoich ramion?

Cedric. Nie. Jeżeli idzie o porównania, mam wrażenie, że siedzieliśmy w dusznym wagonie, w którym nie było sposobu otworzyć okna i że zaszła katastrofa, która nas przez nie wyrzuciła. Cóż stąd, że oddycham tlenem, kiedy mam połamane kości.

Flora. Mój Cedriku, gdyby naprawdę wyrządziło ci to taką krzywdę nie mógłbyś mówić o tem tak, jak mówisz.

(Przy ostatnich słowach wchodzą z lewej strony pani Reach Haslam i pan Reach Haslam — oboje bardzo uroczyści).

Pani Reach Haslam. Charlie poszedł już?

Flora. Poszedł. Ażeby nie zapomnieć — chce żeby mu przygotowąno w nocy kolację w ogrodzie—prosił mnie o pośrednictwo.

Pani Reach Haslam. Dziękuję.

Flora. Mówił, że chciałby mieć coś pożywnego. Bardzo głodny.

Pani Reach Haslam (siadają). Cedricu, chciałabym, żeby twój ojciec wypowiedział zdanie swoje o całej tej sprawie. Naturalnie zwróciłam się do niego i wszystko jemu zostawiam... A więc, ojcze...

Pan Reach Haslam. O ile rozumiem, mamy przedewszystkiem małe trudności kalendarzowe. Dziś jest dwudziesty — jutro będzie dwudziesty pierwszy (patrzy na aparat kalendarzowy). Tak—dwudziesty pierwszy. Flora mniema, że miesiąc miodowy powinien się kończyć dwudziestego pierwszego przyszłego miesiąca, podczas gdy Cedrik jest zdania, że miesiąc miodowy winien trwać dni dziesięć, to znaczy do pierwszego przyszłego miesiąca. Różnica zdań (z ironicznym naciskiem) w tej wysoce doniosłej materji, w tej fundamentalnej materji, jest nie do przezwyciężenia. Wobec tego Flora absolutnie zdecydowała zerwać małżeństwo.

Flora. W istocie tak jest.

Pan Reach Haslam. Nic nie może być prostszego.

Pani Reach Haslam. Floro, ja zupełnie nie jestem w stanie pojąć jak można igrać z naszemi najświętszemi uczuciami w tak jaskrawo cyniczny sposób.

Flora. Mam nadzieję, że nie będziemy z sobą rozmawiać tak jak gdybyśmy byli bohaterami sławnej powieści na tle współczesnych stosunków. Jesteśmy przecież w świecie realnym, żyjemy naprawdę — sprobujmyż więc rozmawiać tak jak ludzie rzeczywiści.

Pani Reach Haslam. Co się mnie tyczy, wcale nie widzę, żebym miała być nierzeczywista. To ty, przeciwnie, nie zdajesz sobie z tego sprawy, że bawisz się rzeczami tragicznemi.

Flora. Podczas rozmowy mojej z Cedrikiem w pierwszym akcie—

Pani Reach Haslam (niezmiernie wzburzona). W pierwszym akcie!!

Flora. Ależ ja staram się tylko odpowiedzieć pani życzeniu, obracając tę całą sprawę w tragedję. Jeżeli to jest istotnie tragedja, pierwszy akt rozegrał się dziś zrana. Otóż w ciągu rozmowy z Cedrikiem dzisiaj zrana natknęliśmy się na kwestję zasadniczą pod względem życiowym. Szło o to, czy nasze małżeństwo jest najważniejszą rzeczą pod względem życiowym. Szło o to, czy nasze małżeństwo jest najważniejszą rzeczą w naszem życiu, czy nie jest. Jeżeli nią jest, to nic innego nie mogłoby zakłócić naszego miodowego miesiąca, chyba tylko trzęsienie ziemi. Bo przyznacie mi chyba, że miesiąc miodowy jest w małżeństwie najpilniejszą sprawą. Jeżeli zaś nasze małżeństwo nie ma być najważniejszą sprawą w naszem życiu—wybornie! Jestto punkt widzenia, który także mogę zrozumieć; tylko — nie chcę wychodzić zamąż. I nie wyjdę. —

Pani Reach Haslam. Cedriku, czemu ty milczysz?

Cedric. Bo nie mam nic do powiedzenia.

Pani Reach Haslam. Twoje milczenie doprawdy przechodzi wszelką miarę.

Flora (ciągle w tonie łagodnego wyjaśnienia). Ułożyliśmy najuroczyściej program naszego miodowego miesiąca. Nagle Cedrikowi wpadła w rękę jakaś gazeta i przyszło mu łaskawie na myśl powiedzieć mi: „Tu jest coś ważniejszego niż nasz miesiąc miodowy. Nasz miesiąc miodowy musi temu zejść z drogi". I ostatecznie okazało się, że to straszne coś jest tylko sprawa zwykłego interesu—dotyczy zawodowych zajęć Cedrica.

Pani Reach Haslam. To coś dotyczy Anglji, dotyczy karjery Cedrika i jego obowiązku.

Flora (wzruszając ramionami, zwraca się do Pana Reach Haslam). Dajmy na to, że Cedric oświadczyłby pewnego dnia, że nie może być obecny na pogrzebie swojego ojca, bo karjera jego wzywa go gdzieindziej, bo Anglja go potrzebuje. Cobyś pan na to powiedział?

Pan Reach Haslam. Prawdopodobnie już wówczas—daremnie starałbym się otworzyć usta.

Pani Reach Haslam. Tu niema mowy o pogrzebie —

Flora. Tak. Ale szło mi tylko o wytłomaczenie, że jeśli niema takich okoliczności, któreby mogły skłonić kogoś do nie wzięcia udziału w pogrzebie, to nie ma także i takich, któreby mogły skłonić do nie wzięcia udziału w własnym miodowym miesiącu.

Cedric. Nie uwzględniasz jednak, jak widzę faktu, że ustąpiłem ci w tej sprawie absolutnie już od całych pięciu godzin.

Pan Reach Haslam. O, to zamąca całą sprawę!

Pani Reach Haslam. Ojcze!

Pan Reach Haslam. Tak, to zamąca sprawę, ponieważ jego ustępstwo jest właśnie dla niej dowodem, że on nie podziela jej poglądów. Flora bierze za złe Cedrikowi nie to co czyni, ale to co myśli. Zdaje mi się, że nie uznaje wcale, żeby jej mąż mógł sobie rościć jakiekolwiek prawa do swobody myśli.

Flora. Ja już przestaję dyskutować.

Pani Reach Haslam. Dlaczego? Chyba dlatego, że uznajesz, jak to jest wszystko nierozsądne.

Flora. Dlatego, że w każdej dyskusji zaczynam argumentować wcale nieźle, a kończy się na tem, że zostaję pobita. Wolę więc jej nie kończyć, zwłaszcza kiedy czuję, że mam słuszność. Być może, że moje poglądy, są bardzo kobiece i bardzo ciasne. Ale proszę, czy możecie sobie wyobrazić mnie—mnie—z człowiekiem, który wbrew swojej woli, ażeby mi towarzyszyć, poświęcił karjerę swoją, Snowdon i całą Anglję... prawda, jak miłe byłyby te nasze miodowe obiady i kolacje?

Pani Reach Haslam. Kiedyś, może wtedy, kiedy będzie już zapóźno, zrozumiesz może, że pierwszym obowiązkiem kobiety, a zarazem jej największą radością, jest — — pomagać swemu małżonkowi. Ja wiem, że ja zrozumiałam to odrazu. Kiedy wyszłam za mąż Reach zarabiał tylko trzysta funtów rocznie. Był pomocnikiem prokuratora--wszak tak, ojcze? Powiedziałam sobie — moim obowiązkiem jest starać się dopomódz mu, i zaczęłam pisać. I odtąd jako żona, czyniłam wszystko co mogłam, aby mu dopomagać skutecznie. Po dziesięciu latach mogłam już spokojnie poradzić mu, żeby porzucił prawo. Od jakiej sumy płaciłam podatek osobisty dochodowy za rok ostatni?

Pan Reach Haslam. Dziewiętnaście tysięcy czterysta funtów.

Pani Reach Haslam. Ja nie chcę się chełpić, ale pojmujesz do czego może dojść kobieta zdająca sobie sprawę z obowiązków żony.

Flora. Są kobiety, które umieją tylko zbierać pieniądze (Cedric zaczyna się machinalnie bawić jakimś przedmiotem na stole). Ja umiem je tylko wydawać. Dwa rozmaite talenty. Gdybym miała teraz do wyrzucenia sto funtów, wiem jaki zrobiłabym z nich użytek — — (Pauza. Flora patrzy kolejno na wszystkich; potem mówi z kapryśnym urokiem). No proszę — czemu nikt się nie pyta, jaki zrobiłabym z nich użytek?

Pani Reach Haslam (z ponurą niedbałością). Więc — słuchamy — jaki użytek?

Flora. Postawiłabym pomnik panu Frampingtonowi. Bo jakto byłoby dobrze, gdyby było więcej takich Frampingtonów na świecie, którzyby pozwalali nowożeńcom rozejrzeć się dokładnie w swoich nowych pozycjach przedtem, nim ostateczna zapadnie klamka.

Pani Reach Haslam. Daję słowo, Floro — sądząc po twoim iskrzącym się dowcipie (uszczypliwie) możnaby było twierdzić, że czujesz się wysoko w górze ponad całą tą sytuacją.

Flora. Choćbym miała w łzach wypłakać oczy, nie mogę nie przyznać, że doznaję uczucia ulgi na myśl o tem, od czego nas wybawił Frampington.

Pani Reach Haslam. Wybawił?! (bardzo grzecznie i spokojnie). Doprawdy zdawałoby się, że to nie przynosi wcale ujmy wejść do rodziny Haslamów i być żoną Cedrica. Niema nazwiska w Londynie, któreby było częściej powtarzane niż nasze. Zdaje się, bez przesady można powiedzieć, że Cedric jest najsłynniejszym człowiekiem w Anglji.

Cedric (zirytowany). Przestań, matko — — (Pochyla głowę i bawi się ciągle jakimś przedmiotem na biurku).

Pan Reach Haslam (ostro). Cedricu! (Pani Reach Haslam patrzy na małżonka, oczekując majestatycznie, że skarci syna). Życzyłbym sobie, abyś nareszczie zaczął się bawić jakimkolwiek innym przedmiotem.

Pani Reach Haslam. Mówię. Używam słów łagodnych ale potrzebnych i nie potrzebuję wstydzić się tego. Powtarzam—mój syn jest jednym z najsłynniejszych ludzi w Anglji. Doprawdy nie zdziwiłabym się bynajmniej, gdyby mi kto powiedział, że wśród szerokich mas ludowych imię Cedrica jest nawet bardziej znane niż moje.

Cedric. Matko, chcesz żebym wyszedł...

Pan Reach Haslam (surowo do syna). Zechciej łaskawie zostać. Nadeszła chwila, w której musimy mówić szczerze (bardzo grzecznie i spokojnie do Flory). Wiadomo pani, że od pierwszej chwili nastrój mój wobec tego małżeństwa nie był entuzjazmem — bez kontroli. Oceniałem pani czarujące zalety, ale —

Flora (uśmiechając się). Jeśli łaska, dosyć. Niechże i pan zechce wobec tego łaskawie przyznać, jak dobroczynnym i zbawczym jest w zasadzie pomysł pana Frampingtona...

(Pan Reach Haslam wstaje z miejsca z powagą i kieruje się ku drzwiom w głębi).

Pani Reach Haslam. Dokąd idziesz, ojcze?

Pan Reach Haslam. Przypomniałem sobie, że wypada mi zająć się kolacją dla Karola—później może mi to wyjść z głowy. (Wychodzi drzwiami w głębi).

Pani Reach Haslam (zwraca się znowu do Flory—mówi z pewnem zgnębieniem). Nie zwracasz zresztą wcale uwagi na straszliwy skandal, jaki z tego wyniknie, jeżeli uprzesz się przy swojem postanowieniu, droga Floro. Wasz miesiąc miodowy już się zaczął, i nagle—taka bomba. Co my powiemy Biskupowi? Jak ja mu będę mogła spojrzeć w oczy? Jak ja będę mogła spojrzeć w oczy komukolwiek? I to właśnie w takim dniu, w którym wypuściłam w świat nową książkę. Ach, i jeszcze ten mój artykuł o zmniejszaniu się liczby urodzeń wśród klas zamożnych. Jak tu wytłomaczyć ludziom, że małżeństwo jest zerwane, kiedy jutro każdy dziennik londyński poda z szerokiemi komentarzami wiadomość o ślubie.

Flora. Ach, to już nie jest moja wina. Ale skoro już o tem mówimy: jak się dostał ten artykulik dzisiejszy do „Piccadilly Gazette"?... (żartobliwie). Musiał się stąd wymknąć zapewne wtedy, kiedy pani domu patrzyła w inną stronę.

Pani Reach Haslam (z powstrzymywaną cierpliwością). Gdyby ci się zdarzyło kiedy zająć górujące miejsce w życiu swojego kraju, Floro, pojęłabyś może trochę lepiej niż teraz pojmujesz, że sprawozdawcy dzienników obojej płci, nawet milczenie wyzyskują jako wskazówkę informacyjną. Poprostu czatują przed drzwiami. Nie można źle się z niemi obchodzić. Ja przynajmniej nie mogę.

Flora. Mam błogą nadzieję, że nigdy nie zajmę górującego miejsca w życiu mojego kraju, ale mam ambicje zajmować górujące miejsce w życiu mego małżonka.

Pani Reach Haslam. Trzeba ci wiedzieć, że dzienniki — —

Cedric. Przepraszam cię, matko, ale doprawdy, do czego nas to doprowadzi?

Pani Reach Haslam (do siebie). I pomyśleć, że nie miałam dotychczas wolnego kwadransa, aby przejrzeć moje wycinki z gazet— —

(Milczenie).

(Wchodzi ostrożnie Pan Reach Haslam, drzwiami w głębi).

Pan Reach Haslam (z łagodną serdecznością). Więc, jakże rzeczy się ułożyły?

Flora. Zdaje mi się, że stopniowo dochodzimy napowrót do rozważania znaczenia małżeństwa w życiu małżonka.

Pan Reach Haslam. Tem lepiej, tem lepiej (siada).

Pani Reach Haslam. Floro, przebacz mi, że wypowiem swoją opinję, opinję doświadczonej badaczki ludzkiej natury. Gdy mówisz o „znaczeniu małżeństwa" o jego doniosłości, masz na myśli w istocie swoje własne znaczenie, swoją indywidualną doniosłość. Próżność osobista jest jednak najmylniejszą busolą.

Flora. O, w istocie! (spojrzenie bardzo lekko złośliwe na Panią Haslam).

Pani Reach Haslam. Twoje stanowisko mogłoby być bardziej usprawiedliwione, gdybyś należała do innego rodzaju kobiet. Nie mówię, że byłoby usprawiedliwione, ale mogłoby być...

Cedric. Oh, matko, jednak możemy przestać — —

Pani Reach Haslam. Cedricu — czy mam cię prosić o pozwolenie rozmawiania w swoje własnej pracowni?

Flora (do Cedrika). Nie możesz pojąć, że to nie jest twój akt (wstając). Więc gdybym była kobietą — innego rodzaju. Jakiegoż to?

Pani Reach Haslam (z spokojną uprzejmością). Taką kobietą, któraby z sobą więcej wnosiła w związek małżeński.

Flora. Pieniędzy? Nie jestem bogata, ale jestem dość bogata na to, aby nie troszczyć się o dziesięć tysięcy funtów.

Pani Reach Haslam (protestując). Floro! Proszę nie wspominać o tych rzeczach. Czy ja o nich wspominałam? Sądzę, że my Haslamowie łatwiej niż ktokolwiek możemy nie troszczyć się o dziesięć tysięcy funtów (bardzo łagodnie). Myślałam o czem innem. Chciałam powiedzieć, że gdybyś okazywała w jakikolwiek sposób — jakby to powiedzieć — więcej wydatnego osobistego talentu. Nie możesz grać żadnej innej roli, oprócz roli żony, w czysto społecznem i domowem znaczeniu. A tymczasem twoje stanowisko jest takie, jakgdybyś sobie rościła przywileje należne — dajmy na to — wielkiej śpiewaczce, wielkiej pianistce, albo —

Flora. Wielkiej powieściopisarce?

Pani Reach Haslam (wcale nie zmieszana). Nie, nie — — miałam na myśli raczej odtwórców publicznych... genjalnych odtwórców. — Tak, gdybyś miała genjusz, talenty... Nie myśl, żbym ci miała brać za złe to, że ich nie masz. Ja ci nie robię żadnych zarzutów... Owszem, przyznaję, jesteś dobra—tak się przynajmniej spodziewam, no — i jesteś piękna.

Flora. Tak mówią...

Pani Reach Haslam. Ale piękność jest raczej darem niebios.

Flora. A proszę mi powiedzieć w takim razie, jaka jest różnica pomiędzy talentem a darem niebios? Przypominam sobie, jak niedawno temu była pani obrażona na "Saturday Review" dlatego, że napisano tam: „Pani Reach Haslam, utalentowana powieściopisarka". Kiedy zaś napisano o pani „opromieniona bogatym darem niebios", była pani tem zachwycona.

Pan Reach Haslam. Przepraszam. Zachwycona—to słowo niestosowne. Najsympatyczniejsze są dla mojej żony te wzmianki, które nie używają żadnego określenia przymiotnikowego—krótko „Pani Reach Haslam"—i nic więcej. Wszak prawda, moja droga. Nigdy się nie pisze w gazetach: „Pan Balfour, utalentowany mąż stanu"· „Lord Northcliff, utalentowany mąż stanu". Pisze się krótko: „Pan Balfour", „Lord Northcliff".

Pani Reach Haslam (życzliwem skinieniem daje mu znak, żeby przestał). Przyznaję ci chętnie, moja Floro, że w samej rzeczy talent — taki jak mój, jeżeli na to nalegasz — jest rzeczywiście darem niebios. Ale ile to lat studjów potrzeba, aby go kształcić, doskonalić. A natomiast tylko piękność, urok — —

Flora (siada układając się w wdzięczne linje, z kunsztownem wyzyskaniem szala i wachlarza). Siedem lat wytężonych studjów potrzeba mi było, aby nauczyć się tak siedzieć, jak usiadłam w tej chwili—a po dwóch dalszych latach pracy uda mi się to bez porównania lepiej. (Rozkoszny uśmiech).

Pani Reach Haslam (z miłościwem pobłażaniem). No tak, ale mówiąc poważnie...

Flora. Poważnie? (urywając, w innym tonie). Czy Biskup mówił cokolwiek, wtedy kiedy stąd wyszłam?

Pani Reach Haslam. Czy mówił cokolwiek? O czem?

Flora. O mnie.

Pan Reach Haslam. Zauważył, że jesteś zachwycającem stworzeniem.

Flora. Żartem?

Pan Reach Haslam. Nie. Mówił zupełnie poważnie.

Flora. O to mi właśnie szło... Więc nie tylko lekkomyślni młodzieńcy o pustych głowach reagują na to poważnie, ale także i ludzie o górnych wzlotach ducha i o siwiejących głowach. Ba—nawet szoferzy i policjanci ulegają poważnemu wrażeniu. Więc coś w tem jednak być musi. Gdziekolwiek jestem — ludzie poważniej traktują mnie, niż ktokolwiek innego—nawet jeżeli w towarzystwie są śpiewacy i pianiści. Jeżeli spóźniam się do teatru, daję przedstawienie przynajmniej przez jakie dwie minuty. I zapewniam, że na ulicach często ludzie, których nie znam zupełnie biegną za mną bardzo poważnie—nawet jeśli mam gęstą woalkę. A przecież my obie ubieramy się u tego samego krawca. I zawsze tak było, nawet przed pierwszem małżeństwem. I ciągle rozwijało się coraz bardziej. Nie będę zaręczała, że mój własny poufny pogląd na moją ważność jest aż tak skromny, jak pogląd pani na jej własną ważność, — ale cóż pani i ja możemy poradzić na mniemanie powszechne! Trzeba się naginać w stronę wichru, to najrozumniejsza orjentacja! Poruszyłaś pani pytanie, co ja wnoszę z sobą do małżeństwa? (dumnie). Otóż wnoszę z sobą do małżeństwa dar niebios, rozwinięty przez pracę wszystkich chwil życia, a co do tego, ile to jest warte, jeden jest głos powszechny— oprócz głosu twojego, pani, i (z lekkiem podnieceniem drżeniem w głosie) — głosu Cedrica. Cedrik wyżej ceni aeroplan.

Cedric. Ależ protestuję.

Flora (z wzruszeniem). Nie, nie— tak było! tak było! Kiedy się wywiązał konflikt pomiędzy moim miesiącem miodowym a twoim aeroplanem,—wszak wyrok twój zapadł natychmiast. Nawet bez zapytania mnie o zdanie; bez chwili wahania przeszedłeś do porządku nad miesiącem miodowym, wybrałeś aeroplan.

Cedric. Aeroplan! aeroplan! Ciągle mowa o aeroplanie, a przecież...

Flora (spokojnie). Posłuchaj mnie. Wiem,

że mi ustąpiłeś. Wiem, że oświadczyłeś gotowość rzucenia na ofiarę wszystkiego dla naszego miodowego miesiąca. Ale czy w gruncie rzeczy nie powtarzasz sobie ciągle, że to właśnie, nasz miesiąc miodowy powinien był być poświęcony?... (Cedric nie daje odpowiedzi — pauza). Czy nie doznajesz uczucia ulgi, że zerwałam? Proszę o otwartą odpowiedź!

Pan Reach Haslam (mrucząc ostrzegawczo). Byle nie zbyt otwarta...

Cedric (spokojnie). Istotnie, myślę, że część miodowego miesiąca powinna była być poświęcona. I rzeczywiście nie przeszło mi przez głowę, że ty możesz być innego zdania. Ta różnica zdań zaniepokoiła mnie — a nawet zatrwożyła. Dlatego, że to rzuca światło, pojmujesz...

Flora. A więc jesteś już wolny. Powinieneś być wdzięczny.

Cedric (wzruszony, zacinając się). Powinienem... być... Istotnie... ty tylko... mogłaś zerwać...

Flora. To znaczy?

Cedric. Że są rzeczy... których mężczyzna... uczynić nie jest w stanie.

Flora. I mówisz tak spokojnie, że gdybym nie przecięła tych węzłów, byłbyś siebie rzucił i mnie pchnął z sobą w małżeństwo, w które nie wierzyłeś? Dlatego, że jesteś mężczyzną, i że są rzeczy, których mężczyzna uczynić nie jest w stanie. Więc mężczyzna nie może okazać takiego męstwa jak kobieta?... Tak, teraz pojmuję... (stara się zapanować nad wzburzeniem).

Pani Reach Haslam. Będziesz żałowała Floro, że rozstajesz się z Cedrikiem. Będziesz chciała do niego powrócić!

Flora (wzgardliwie). Doprawdy? (uprzejmie). Życzę pani dobrej nocy, pani Haslam.

Pani Reach Haslam. Odchodzisz? Dokąd?

Flora. Nie wiem. Nie mogę przecież zostać tutaj. Oficjalny mój związek z tym domem już się skończył. Pójdę gdzieś do hotelu. Dobranoc.

Pani Reach Haslam (wstaje i podchodzi do Flory; stanowczo). Zobowiąże mnie pani, jeżeli unikniemy skandalu wobec służby. Do hotelu przenieść się pani może i jutro zrana. Odprowadzę panią do jej pokoju, jeżeli pani pozwoli. Herbatę każę pani tam podać.

(Flora zgadza się w milczeniu i wychodzi z Panią Reach Haslam drzwiami w głębi).

(Pan Reach Haslam przygotowuje się zwolna do pracy przy biurku).

Cedric. Wychodzę do ogrodu (wyjmuje papierosa z pot-cigar, wychodzi drżwiami na lewo).

Pan Reach Haslam (siada przy biurku, po wyjściu Cedrika). Ale dureń!

(Wchodzi Pani Reach Haslam).

Pani Reach Haslam. Mój drogi — zanim zabierzemy się do artykułu, chciałabym zrobić kilka notatek o psychologji Flory, póki jeszcze mam świeże wrażenia. Nigdy nie wiadomo, jak i kiedy taki materjał przydać się może... Gdzież Cedric?

Pan Reach Haslam. W ogrodzie. Jak ty o wszystkiem myślisz najdroższa. (nawpół do siebie). A zatem do roboty.

(Pan Haslam stenografuje słowa żony).

Pani Reach Haslam (zebrawszy myśli, zaczyna dyktować). „Tło histeryczne, skłonne do ataków i przesileń, nieustanna jednak pamięć o twarzy, umiejętnie ściąganej, aby nie dopuścić do płaczu, zapewne w myśl wskazówek biegłego toaletowego specjalisty". Tak. Teraz kropka.

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Ogród państwa Haslam. Front domu po lewej stronie. W głębi krzaki i drzewa. W środku altana, otwarta ku stronie widzów. Pod dachem altany stół nakryty z resztkami potraw.

Czas: godzina czwarta nad ranem. Wspaniały wschód słońca.

CEDRIC. (Siedzi przy stole. Kończy jeść. Ma na sobie jeszcze strój wieczorowy, uczesanie jest jednak rozwichrzone).

(Wchodzi KAROL ścieżką przez krzaki w głębi. Ma na sobie ten sam kostjum, co w akcie poprzednim; kapelusz, laskę i t. p).

Cedric. A — wróciłeś...

Karol. Ty? Tutaj?

Cedric (obcierając sobie usta). Ja — tutaj —

Karol. I jakże tam? jak rzeczy stoją?

Cedric. Jakie rzeczy?

Karol. Między tobą a Florą, naturalnie.

Cedric. Nic nowego.

Karol. Więc zerwane?

Cedric (z nerwowym śmiechem). Kompletnie zerwane.

(Pauza).

Karol. Wyglądasz, jakbyś niespał przez całą noc.

Cedric (potakuje). Która godzina? Mój zegarek stanął.

Karol. Około czwartej. Spóźniłem się trochę (siada przy stole). Mam dla ciebie ciekawe nowiny. Nie wiem jaki one będą miały wpływ... (przerywa) do licha, zjadłeś całą moją kolację!

Cedric. Więc to było dla ciebie?

Karol. Nie! To już jest doprawdy zbyt nieprzyjemne!

Cedric. Skądże miałem wiedzieć?

Karol. Mogłeś się domyśleć!

Cedric. Myślałem, że to zostawione przypadkiem. Zasnąłem trochę. Musiałem spać ze cztery godziny. Obudziłem się przed chwilą i byłem głodny, jak wilk. — Nigdy nie myślałem...

Karol. Bardzo ci jestem wdzięczny.

Cedric. Niezmiernie mi przykro. — Tu jeszcze jest trochę chleba. Jakież to wiadomości?

Karol. Dużo mi przyjdzie z tego, że ci jest przykro. Przez ciebie nie jadłem ani śniadania, ani obiadu. Nadomiar wszystkiego, zjadasz jeszcze moją kolację.

Cedric. Wspominałeś coś o wiadomościach dla mnie.

Karol. Ładniebym wyglądał, gdybym nie zjadł kilku kanapek w biurze. Mam ochotę wcale ci nic nie mówić (wyjmuje gazetę z kieszeni). Druga edycja, prosto z maszyny. (Rozwija gazetę). Masz tobie, powalałem się mazią. (Podaje gazetę Cedricowi i ogląda ręce). O, tu jest coś dla ciebie (wskazuje artykuł w gazecie).

(Cedric czyta — potem wstaje).

Cedric (po chwili namysłu). Słuchaj, Czarli! Pamiętaj o tem, że wróciwszy z biura dzisiaj w nocy, poszedłeś spać natychmiast, że ze mną nie rozmawiałeś i nie pokazywałeś mi wcale tego dziennika, że nawet nie wiedziałeś wcale o tem, co tu wydrukowane. Bardzo mi na tem zależy. Zrozumiałeś?

(Cedric kładzie dziennik do kieszeni).

Karol. Zrozumiałem. Nie rozumiem tylko dlaczego?

Cedric. Mniejsza o to dlaczego.

Karol. Jutro o ósmej zrana przyniosą przecież dziennik do domu, a w pół godziny potem, każdy tu o tem będzie wiedział —

Cedric. Właśnie, jednak dotyczy to tego, co muszę załatwić przed ósmą zrana.

Karol. Cóż to takiego?

Cedric. Muszę widzieć się z Florą, powiedzieć jej, że zmieniłem zupełnie zdanie. Gdyby się dowiedziała, że czytałem dziennik, mogłaby sobie wyobrażać, że tę zmianę wywołała wiadomość, którą mi pokazałeś — i oczywiście wszystko byłoby stracone. Nie pojmujesz tego, tępa głowo?

Karol. Pojmuję. Ale czyż nie ta wiadomość właśnie wywołała w tobie zmianę zdania.

Cedric (zimno). A cóż ciebie to może obchodzić? Główna rzecz w tem, że nareszcie będę mógł teraz spokojnie, bez wyrzutów sumienia przeżyć mój miesiąc miodowy. To rzecz główna.

Karol. I uznajesz, że to wszystko już jest teraz w porządku.

Cedric. Doprawdy, nie zastanawiam się nad tem (szorstko). O n a m u s i b y ć m o j a — do krośset. I o to mi tylko idzie.

Karol. A gdzież ona jest teraz?

Cedric. Śpi na górze, w gościnnym pokoju, obok matki.

Karol. I w jakiż sposób myślisz się z nią porozumieć?

Cedric. Poproszę przez drzwi, żeby się ubrała i zaraz zeszła na dół. I rozmówię się z nią tutaj. Jeśli mi się uda, będę już z nią w drodze do Colchester o szóstej zrana. Wszak są dostateczne zapasy benzyny w wozowni.

Karol. Są. Powtarzam jednak — cały ten plan nie wydaje mi się zbyt poprawny.

Cedric. Przestań, proszę cię (odchodząc). Czy Fisher oczyścił samochód wczoraj wieczorem?

Karol. Skądże ja mogę wiedzieć! Powinien był oczyścić... Słuchaj — no Cedric!

Cedric (zatrzymując się). Czego?

Karol. Przypuszczam, że przyjmiesz odemnie pewną radę?

Cedric. Nie—(odwraca się, ale zatrzymuje się znowu). O co idzie?

Karol. Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że powinienbyś zmienić ubranie i postarać się o wygląd nieco przytomniejszy.

Cedric. No, naturalnie. Przypuszczam, że przebiorę się prędzej, niż ona. Pomyślałem o wszystkiem.

(Cedric ma już ostatecznie odejść).

(Wchodzi Flora — i spotyka idącego w stronę domu, Cedrica).

(Flora jest ubrana w poranny strój do wyjścia na ulicę, w ręku niesie walizkę).

Flora (zdumiona). D z i e ń dobry!

Cedric (zdumiony). Dzień dobry!

Karol. A to co? Cóż to znaczy Floro?

Flora. Nie mogłam spać.

Cedric (Pospiesznie i nerwowo). Będę tu z powrotem za dwie sekundy. (Na stronie—do Karola). Zatrzymaj ją tutaj koniecznie. (Wbiega do domu).

Flora. Domyślałam się, że cię zastanę przy twojej kolacji. Dlatego tylko zeszłam tutaj.

Karol (Żartobliwie). Bardzo uprzejmie z twojej strony. Niestety — nie miałem wcale kolacji, Cedric zjadł mi wszystko. Przepędził tu całą noc i pochłonął wszystko—ot, co tylko zostało (wskazuje na chleb).

Flora. Biedny chłopcze! O — jest jeszcze para bananów. Jadłeś kiedy sandwicze z bananów?

Karol. Nie. Czy to dobre?

Flora. Ależ bardzo dobre! Nigdy nie jadłeś? Przyrządzić ci może?

Karol. O, będę ci bardzo wdzięczny. (Chwila milczenia. Flora jest zajęta przyrządzaniem sandwiczów).

Flora. Czy długo mam jeszcze czekać?

Karol. Czekać?

Flora. No tak—na wyjaśnienia co się stało z panem Frampingtonem. Zamknięto go na Bow-Street.

Karol. No, naturalnie.

Flora. Doprawdy — to mi sprawia przykrość. Wolałabym prawie, żeby sobie odjechał. O, proszę cię. (Podaje mu sandwicze, które Karol zjada). A teraz, Czarli, do widzenia. Muszę stąd odejść, zanim ktokolwiek się przebudzi.

Karol. I cóż się stało w ciągu wieczora?

Flora. Nie masz pojęcia! Straszliwe sceny! Wprost straszliwe! Doprawdy nie mogłabym patrzeć na waszą matkę przy śniadaniu. I rzeczywiście—to zupełnie zbyteczne. Przenoszę się więc do hotelu Great Western. Opowiem im, że przyjechałam nocnym pociągiem. I będę ci bardzo wdzięczna, jeżeli dopilnujesz, aby mi przyniesiono tam później moje rzeczy. Proszę... (Podaje mu znowu sandwicze).

Karol. Doskonale. Dziękuję. (Po namyśle). Słuchaj Floro—zdaje mi się, że i ja także nabrałem sympatji do Frampingtona.

Flora. A to czemu?

Karol. Nie wiem. Ale wszakżeż to przez niego— poniekąd — odczuwam to samo, co i ty... Czy nie zauważyłaś Floro, że w naszym domu ja jestem poprostu zero?

Flora. Zerem? Jakto?

Karol. Tak, tak, ja się nie liczę. Ja jestem tylko do wysługiwania się innym.

Flora. Czy masz na myśli może — moje kufry?

Karol. O nie, bynajmniej! cóż znowu! Ja mówię tylko o sposobie w jaki tu mnie traktują. Cedric tu jest panem wszechwładnym. A czy on chce, abym ja był zajęty w jego zakładach? Przeciwnie. Mówi, że powinienem sam sobie wywalczeć stanowisko, i tym podobne frazesy. I ostatecznie zapędzono mnie do nocnej pracy, jak maszynę! Kto pomyślał, że my, opływając w dostatki, zamordowujemy się bezlitośnie dla każdego zarobku. Czy ja nie powinienem podróżować naokoło świata, albo coś podobnego. Mam przecież tylko dwadzieścia dwa lata!

Flora. Wszystkiego?

Karol. Ot, i teraz. Pracuję całą noc. Wracam do domu i dowiaduję się, że Cedric nie miał nic lepszego do zrobienia, jak zjeść moją kolację. Pięciu służących jest w tym domu. A czy sądzisz, że miałbym jaką szansę zdobycia czegokolwiek do zjedzenia przed ósmą zrana, a dobrze jeszcze jeżeli nie później, gdybyś ty nie była wynalazła tych sandwiczów. Z pewnością nie. Dziękuję. (Bierze dwa dalsze sandwicze). Ale nie to miałem na myśli. O co innego mi idzie. Któż to zapoznał moją rodzinę z tobą? Przecież — ja! Poznałem cię w klubie Wioślarskim sześć miesięcy wprzód, zanim jego dostojność Cedric i matka wyrazili chęć pójścia tam ze mną na herbatę. I od tej chwili nie liczyłem się już zupełnie. Cedric przyćmił mnie odrazu i zapędził natychmiast w kozi róg. Nie minęło dwadzieścia cztery godzin i już zakochaliście się w sobie. Czy pytał mnie o pozwolenie. Czy myślał o mnie choćby przez chwilę? Przez głowę mu to nie przyszło! Poprostu, posłużyli się mną tylko... To też — czuję sympatję do Frampingtona. Zrozumiałeś mnie?

Flora. Zrozumiałam.

Karol. Naturalnie, martwię się tem, co się stało, o ile to ciebie dotyczy. Ale o ile to dotyczy Cedrica, nie stłumię w sobie przeświadczenia, że dobrze mu tak. On jest zanadto pewny siebie—pod każdym względem.

Flora. O tak — to prawda.

Karol (Wahając się). Floro — poco ja się waham?

Flora. Masz coś jeszcze na sercu?

Karol. Tak. Ale nie wiem, czy powinienem ci to powiedzieć.

Flora. Niezawodnie powinieneś.

Karol. Tak sądzisz?

Flora. Chyba, że to ma być coś z tych argumentów na jakie się powoływała twoja matka... W takim razie, nie chcę nic słyszeć.

Karol. To jest coś, co się odnosi do Klopstocka.

Flora. Do Klopstocka?

Karol. Spotkała go katastrofa.

Flora. Co takiego?

Karol. Złamał nogę.

Flora. Jak to było. Zbyt gwałtownie wylądował?

Karol. Nie. Ostatniego wieczora wracał samojazdem do hotelu i wpadł na pomnik Bismarcka. Wyrzucony został na bruk. Dobrze, że uszedł z życiem.

Flora. Samojazdy są doprawdy zbyt niebezpieczne. Dziwię się awiatorom, którzy się im wogóle powierzają.

Karol (z podziwem). O, to było wybornie powiedziane. Nieraz chciałbym coś takiego powiedzieć, ale nie mogę nigdy nic odpowiedniego wymyśleć. Cedricowi się to czasem udaje. Udaje się także często papie. Ale ty jesteś jedyna kobieta ze wszystkich jakie znam, która to umie.

Flora. Charli, jesteś kochany chłopiec. Sądzę, że przeleży w łóżku pięć albo sześć tygodni?

Karol. Kto? Klopstock? O, można się założyć. Rozumiesz co to znaczy?

Flora. Doskonale. Ale tego nie rozumiem, dlaczego wahałeś się, czy masz mi o tem powiedzieć. Przypuszczam, że mówiłeś o tem z Cedricem?

Karol. Tak, mówiłem. Dałem mu pierwszy egzemplarz dziennika z wiadomościami o tem.

Flora. Gdzież ten dziennik?

Karol. Cedric zabrał go z sobą.

Flora. A więc, jeśli Cedric wie o tem, czemuż ja nie mam wiedzieć?

Karol. Lepiej nie pytaj o to. Widzisz, zepsułem pewną grę pozorów, ale tak mi kazało sumienie. To jest sprawa poważna. Bardzo poważna. Nie było mi to bardzo przyjemnie, ale miałem obowiązek ostrzedz cię.

Flora. Przed czem?

Karol. Cedric prosił mnie, ażebym nie mówił ani słowa. Prosił, żebym nie wspominał nawet o tem, że jemu o tem mówiłem.

Flora. I ty mu przyrzekłeś?

Karol. Zdaje mi się, że nie. Chyba nie.

Flora. Więc Cedric przepędził tu całą noc?

Karol. Tak. Mówił mi, że spał kamiennym snem w tem krześle — a gdy się obudził, zjadł moją kolację.

Flora. Ale dlaczego nie chciał, abyś mi powiedział o Klopstocku.

(Wchodzi Cedric, w wygodnem ubraniu, pospiesznie włożonem, z kapeluszem).

(Flora nie zmieniając tonu rozmawia w dalszym ciągu z Karolem).

Flora. O masz jeszcze jeden, ale to już ostatni (podaje mu sandwicza. Do Cedrica). Podobno zjadłeś to, co nie należało do ciebie. Czyniłam co mogłam z bananów i suchego chleba, ażeby jakoś to naprawić.

Karol (Ze zdenerwowaniem). Zapomniałeś się uczesać, mój kochany.

Cedric (Z gestem—pocichu do Karola). Zostaw nas (Powtarza gest).

(Karol wychodzi niechętnie — w stronę domu).

Flora (Z prostotą). Właśnie miałam odejść. Chcę się stąd usunąć, zanim ktokolwiek się obudzi. Sądzę, że to będzie najrozumniejsze ze wszystkiego, co mogę uczynić. Karol zatrzymał mnie i prosił, żeby się nim zaopiekować.

Cedric. Rozmawiał z tobą — o czem?

Flora. O, rozwodził się ze swojemi żalami. Wiesz dobrze jak są słuszne.

Cedric. Przed chwilą miałem zamiar iść na górę, zapukać do twoich drzwi i prosić cię, abyś zeszła na dół na chwilę. Czy to nie dziwne, że w tej samej chwili schodziłaś już ze schodów, aby tu przyjść?

Flora. Skądże ta chęć rozpoczęcia dnia tak wcześnie?

Cedric. Słuchaj mnie, Floro, już czas zrobić jedyną rzecz rozsądną. Nie będziemy budzić Fishera. Samojazd jest oczyszczony, benzyny jest tyle ile potrzeba. Chodź! Pojedziemy we dwoje. Ja i ty —

Flora (Z niewinną minką). Dokąd?

Cedric. Do Colchester. Obudzę Biskupa i wytłomaczę mu, że ślub musi być dany o ósmej, nie o dwunastej. Stary zakrystjan, baba kościelna wystarczą za świadków. Załatwimy się ze wszystkiem, zanim matka się przebudzi. Zatelefonujemy im z Colchester miłą nowinę (Pauza. Flora milczy. Cedric mówi dalej z mniejszem już zaufaniem). To im poprawi apetyt przy śniadaniu.

Flora (Ironicznie). Czy są jeszcze jakie inne szczegóły?

Cedric (Z szorstkim wysiłkiem przekonywania). Daj pokój! Jedźmy;

Flora (Ironicznie). Zdecydowałeś zatem, że mamy wziąć ślub, pomimo wszystko.

Cedric Przecież nie można zrywać małżeństwa z takiego—z takiego powodu! To niedorzeczne. Pomyśl, coby o tem powiedział ktokolwiek postronny, gdybyśmy go zapytali o zdanie. Orzekłby z pewnością, że nam się przewróciło w głowach. To poprostu nie wytrzymuje żadnej krytyki (Zbliża się ku Florze). No jedźmy!

Flora. Mam być tak porwana jak wichrem? — To ma starczyć za wszystkie argumenty.

Cedric. Słuchaj mnie, Floro...

Flora. Słucham.

Cedric. Pomówmy jak mężczyzna z mężczyzną. Otwarcie.

Flora. Jak dwaj adwokaci w rozwodowym procesie? Czy tak?

Cedric (Podnosząc talerz ze stołu). Jeszcze

jeden złośliwy żart, a potłukę na drobne kawałki wszystko, co leży na tym stole (Gest odpowiedni).

Flora (Zimno). Jeżeli zgadzasz się słuchać spokojnie i rozmawiać rozsądnie, nie znaczy to, abym była przystępna dla jakichkolwiek argumentów.

Cedric. Już dobrze, dobrze —

Flora. Nie chcę się dać przekonać. Nie chcę. Sprawa, która rozbiła nasze małżeństwo, może się wydawać istotnie dziecinna jakiemuś bezstronnemu sędziemu. Ale ja nie mam wcale zamiaru radzić się bezstronnych sędziów. Byłoby to równoznaczne z oddawaniem naszej sprawy przed sąd przysięgłych czy trybunał policyjny. Tobie równie jak i mnie wiadomo dokładnie, że sprawa nie jest bynajmniej dziecinna. To jest rzecz zasadnicza. Mieliśmy się unieszczęśliwić. A teraz pod pewnym względem odzyskaliśmy nasze szczęście. Jesteśmy wolni. Dzięki Bogu mamy ręce rozwiązane. Otwarcie po męsku, wierz temu, co ci mówię, Cedric — byłoby to dla mnie zbyt wielkiem upokorzeniem zaślubiać kogoś, kto się zapatruje na małżeństwo tak, jak ty się na nie zapatrujesz. A skoro równie niemożliwem jest dla ciebie zmienić swoją opinję, jak dla mnie zmienić moją — nie może być mowy, abyśmy dziś zrana jechali do Colchester.— Szkoda słów na przekonywanie.

Cedric. Otóż co do mnie, zmieniłem swoją opinję. Możemy zatem jechać.

Flora. Zmieniłeś swoją opinję? Jakto? Nie rozumiem...

Cedric. Całą tę przeklętą noc przesiedziałem tutaj myśląc o tem.

Flora. Doprawdy?

Cedric. Nie inaczej. Czy przypuszczasz, że mogłem zasnąć, kiedy i ty nie mogłaś. Za kogo mnie bierzesz. Im bardziej o tem myślałem, tem silniej się przekonywałem, że byłem w błędzie (Flora chce mówić). Chwileczkę jeszcze. Pojmujesz, że nie myślę potępiać się za to, co mówiłem. Nie mogę tego utrzymywać — zwłaszcza skoro mówimy otwarcie. Mówiłem to, czułem, szczerze i wtedy jednak nawet, byłem gotów ci ustąpić. Nie mogłem uczynić nic więcej. Nie chciałaś tego przyjąć. Otóż przyznaję, że postąpiłaś zupełnie słusznie, nie zgadzając się na to, ażebym ustępował wbrew swemu przekonaniu. Podziwiam cię za to jeszcze bardziej niż przedtem. Ale teraz już nie ustępuję wbrew swemu przekonaniu — ustępuję wraz z mojem przekonaniem.

Flora. Ale jak się to stało, że zmieniłeś swoje poglądy. Dlaczego?

Cedric. Nie wiem. Jakże zmieniają się ludzkie poglądy. Stopniowo siła tego, co mówiłaś, oddziaływała na mnie. Naturalnie małżeństwo dla mężczyzny musi być czemś stojącem ponad wszystkiem innem. Naturalnie pomysł dopuszczenia do tego, aby sprawa zawodowa stawała na zawadzie miesiącowi miodowemu jest potworny. Nie jestem w stanie pojąć, jak mogłem nie widzieć tego wczoraj. Jedynem wytłomaczeniem jest chyba tylko to, że do wczoraj nie żyłem niczem innem tylko moim zawodem. Cóż chcesz? Siła przyzwyczajenia. Trzeba się przyzwyczajać do nowego stanu rzeczy. Nagłe spadnięcie na mnie tej nowiny zastało mnie jeszcze na dawnych torach mojej myśli. I widzisz, Floro, nie powinnaś mi brać za złe, że nie odrazu zawtórowałem w twoj ton. Nie powinnaś mi brać za złe, że się nie spłaszczyłem. Jestem z innego gatunku ludzi... Myliłem się poprostu.

Flora (W nowym, spokojnym tonie). Cedricu—powiedz mi co zaszło wczoraj wieczorem w pokoju twojej matki po mojem odejściu na górę?

Cedric. Niewiem doprawdy. W chwilę potem i ja wyszedłem. Od tej pory nie ruszałem się stąd i nie mówiłem z nikim, prócz Karola przed chwilą. Dlaczego się o to pytasz?

Flora. Bez powodu.

Cedric. „Bez powodu“ — dlaczego to mówisz tak dziwnym tonem?

Flora. Uderzyło mnie to już wieczorem, że rozmowa zeszła nagle na sprawę aeroplanów... Przyszło mi teraz na myśl, że może zaszło coś— w twoich sprawach zawodowych.—

Cedric. Nie rozumiem... Jakto—„coś“ — w moich sprawch zawodowych. —

Flora. No cokolwiek — nie wiem co to być może, coś co pomimo wszystko zwraca ci swobodę na cały miesiąc, w ten sposób, że ażeby dać się nawrócić nie potrzebujesz czynić żadnej ofiary.

Cedric. Ach, cóż znowu za urojenie... Cóż się mogło takiego stać?

Flora. Czy ja wiem? Telefon u twojej matki jest w ciągłym ruchu. A w dzisiejszych czasach wszystkie zdarzenia dochodzą do nas w drodze telefonicznej, i to przeważnie gdzieś około północy.

Cedric (ożywiony, afektując wesołą ironją). Co też roi się po tej pięknej głowie! Ależ drogie dziecko, doprawdy nic nie zaszło—o ile mi przynajmniej wiadomo. No i przecież nic się chyba zdarzyć nie mogło. Moje nawrócenie jest tylko i wyłącznie wynikiem moich rozmyślań o tych wszystkich sprawach. Dlatego jedynie zwróciłem się do ciebie.

Flora. Możesz mi za to ręczyć honorem?

Cedric (niezachwianie). Oczywiście... Więc ty istotnie wyobrażasz sobie, że byłbym zdolny do takich...—przecież możesz chyba mi ufać.

Flora. Nie o ciebie tu chodzi. Mam jednak pewne wątpliwości co do ludzkiej natury wogóle, a więc i co do twojej także. Zależy jej zawsze tak bardzo na tem, aby zwyciężyć innych, że gotowa jest zawsze od postępów, do jakich nie przypuszcza może nawet sama, że jest zdolna...

Cedric (urażony, ale wybaczająco). Fluff!

Flora (nieco ozięble). Wszak mieliśmy rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną.

Cedric. Pomyśl tylko Floro! Wszakże to dopiero od dwunastu godzin to bydlę Klopstock wtargnęło w nasz miesiąc miodowy. Zaledwie dwanaście godzin. Aż do tej chwili łączyła nas nas miłość, nieprawdaż? (Milczenie) Nieprawdaż?

Flora (z prostotą). Prawda!

Cedric. Wielka miłość? (Milczenie) Wszak prawda? Wielka miłość?

Flora (z jeszcze większą prostotą). Prawda.

Cedric. Otóż skoro znasz tak dobrze ludzką naturę, wiesz doskonale, że to się nie mogło tak raptem zmienić, że to musi trwać, że wielka miłość łączy nas tak samo, jak przedtem. Teraz, w tej chwili także, na tem miejscu. Ktoś ktoby słyszał naszą rozmowę z wczorajszego wieczora, a nawet ktoby nas widział i obecnie, mógłby myśleć, że jesteśmy sobie najzupełniej obojętni. Uczucie nie da się zdmuchnąć w jednej chwili, Nie możemy się go pozbywać dowolnie— kochamy się do krocset! Mieliśmy ciężką przeprawę—prawda! Było to piekielnie przykre—prawda! Może powiedzieć, że zachowałem się jak osioł—prawda? Ale cóż stąd? Kochasz człowieka, który zachował się jak osioł—oto wszystko! Ale kochasz go przecież! A co więcej—on już przestał być osłem! No, Floro, jeden osioł, to dosyć! Posłuchaj głosu rozsądku! Posłuchasz? Prawda?

Flora. Ależ matka twoja — —

Cedric (chwyta za jakiś przedmiot z nakrycia stołu i rzuca go gwałtownie na ziemię; potem, opanowując się, po chwili, cichym, stłumionym głosem). Niech matka mi da pokój. —

(Pan i pani Reach Haslam ukazują się w drzwiach domu. Okazują zdumienie na widok Flory i Cedrica; niezdecydowane, pytające gesty).

Flora (postępując ku Cedricowi). Cedricu!

(Flora w tej chwili spostrzega Pana i Panią Haslam. Zmienia zupełnie swoją postawę i zwraca się ku podchodzącym).

Pani Reach Haslam. Doprawdy — —

Flora (swobodnie). Ach więc wszyscy wstaliśmy dzisiaj razem z wróblami!

Pan Reach Haslam. Nie. Te dwa specjalne wróble, o których pan mówi wyszły tylko, żeby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza przed schronieniem się do swego gniazdka na na dzienny spoczynek. (Poziewa).

Pani Reach Haslam. Praca jest pracą, łaskawa pani, i musi być zrobiona cokolwiekby się stało—czy nie stało! (ostatnie słowa mówi ze szczególnym naciskiem).

Flora. Ach! To ten zaludniający Anglję artykuł — więc to biedactwo przychodziło na świat przez cały ten czas?

Cedric (starając się pozbyć rodziców). Najwyższy już czas, matko, położyć się—sprawiasz wrażenie zupełnie wyczerpanej.

Pani Reach Haslam. Czyż to co dziwnego? Mówiłam właśnie twemu ojcu, że gdyby to się miało częściej powtarzać, musielibyśmy wymyśleć jaki sposób, aby módz przyrządzać sobie herbatę o wschodzie słońca.

Flora. Chce pani szklanki herbaty?

Pani Reach Haslam. Nigdy niczego nie chcę, czego mieć nie mogę. Wytrzymam z pewnością do ósmej rano.

Cedric. Może papa zdobędzie gdzie trochę herbaty.

Pani Reach Haslam. Niepodobieństwo, moje dziecko! Wszakżeż to czwarta nad ranem!

Pan Reach Haslam. Kucharz zawsze zamyka kuchnię, żeby Cuthbert i Fischer nie mogli mu tam gospodarować.

Cedric. Dziwne to, żeby w takim domu jak nasz nie można było mieć herbaty wtedy kiedy potrzeba.

Pani Reach Haslam (dotknięta krytyką prowadzenia domu, ozięble). Ojcze, pójdziemy?

Flora. Może ja mogę pani zrobić herbaty?

Pani Reach Haslam. Bardzo to uprzejmie z pani strony częstować mnie herbatą w moim własnym ogrodzie, ale — —

Flora (z wielkim wdziękiem). Ach to rzecz bagatelna. (Otwierając swoją walizkę) Mam ze sobą swój Thermos. Napełniłam go wczoraj przed wyjazdem z Cedriciem. Wie pani, że nie mieliśmy wcale programu, i że nie wiedzieliśmy, gdzie ostatecznie się zatrzymamy. Zresztą nigdy bez tego nie wybieram się w podróż. (Odkręca flaszkę Thermosu i leje parującą już herbatę na patentowane nakrycie. Potem rozwija pakiecik z cukrem). Jeden kawałek nieprawdaż? (Podaje filiżenkę z łyżeczką pani R. Haslam, która wyciąga rękę). O proszę sobie tu usiąść i wypić. Czyniłam czterdzieści różnorodnych przypuszczeń, gdzie i w jakich warunkach przyrządzać będę tę herbatę.—Wszystkie okazały się fałszywe. (Pani R. Haslam robi minę dającą do poznania, że herbata jest nieszczególna). Ale jest gorąca, nieprawdaż?

Pani Reach Haslam (popijając herbatę). Lękam się, że nieszczególnie spała pani tej nocy...

Flora. Dlaczego?

Pani Reach Haslam. Wstała pani tak niezwykle wcześnie...

Flora. Prawdę mówiąc. nie kładłam się wcale spać.

Pan Reach Haslam (napół do siebie). Nic dziwnego. Właśnie wczoraj w pokojach gościnnych umieściłem komplety powieści mojej żony. (Ma wyraz twarzy lękliwego zaambarasowania).

Flora. Może jeszcze filiżankę.

Pani Reach Haslam. Nie, dziękuję. Wyborna...

Flora. Jak to dobrze że byłam pod ręką. Widzi pan jak to łatwo mieć harbatę o każdej godzinie doby. Ale naturalnie, przy wszystkich pani innych zatrudnieniach, nie może pani zaprzątać sobie głowy podobnemi drobiazgami domowego gospodarstwa.

Pani Reach Haslam. (dotknięta). Przy moich innych zatrudnieniach!.. Nie wątpię, że teraz kiedy pani porozumiała się już z Cedrickiem pokaże mu pani, jak się powinno prowadzić gospodarstwo domowe.

Flora. O jakiem porozumieniu z Cedrickiem pani mówi?

Pani Reach Haslam. Droga Floro! Jakże sobie mam wytłomaczyć inaczej szczególne spotkanie twoje z Cedrikiem w ogrodzie o czwartej zrana! A nie chcę już nawet zwracać uwagi na znaczenie tego stłuczonego spodka na ścieżce, twojej postawy zresztą i tonu, w jakim mówiłaś do Cedrika w chwili, w której spostrzegłaś, że nadchodzą. O! jestem biegłą obserwatorką. Zechciej sobie przypomnieć, że wczoraj wieczorem —

Cedric. Ależ matko, doprawdy powinnaś już iść spać?

Pani Reach Haslam. Zechciej sobie przypomnieć, że wczoraj wieczorem dałam do zrozumienia, że prędzej niż przypuszczasz sama się rzucisz w ramiona Cedrica (wspaniałomyślnie). I jestem zachwyconą widząc, że duma nie stanęła ci na drodze. Doprawdy jestem zachwycona! Jak go tam już znalazłaś w ogrodzie? Nie wiem oczywiście, ale zresztą to już rzecz drugorzędna. (Lekka pauza).

Flora. (do Cedrica). I cóż ty na to?

Cedric. Mylisz się najzupełniej, matko. Przeciwnie, to ja nabrałem przeświadczenia, że Flora miała kompletną słuszność wczoraj wieczorem.

Pani Reach Haslam. Pod jakim względem?

Cedric. Twierdząc, że wszystko powinno ustąpić przed miesiącem miodowym. I właśnie oświadczyłem to jej przed chwilą.

Flora. Cedrik zapomniał tylko powiedzieć przy tem, że nie ma już teraz nic takiego, przed czemby nasz miesiąc miodowy musiał ustąpić.

Pani Reach Haslam. Cóż to ma znaczyć?

Flora. To ma znaczyć, że Klopstock złamał nogę i będzie musiał leżeć w łużku przez sześć tygodni. (Cedric czyni ruch przerażenia. Flora ze spokojnym wdziękiem do Cedrica). Nie wiedziałeś o tem? (Milczenie) Cedrik, odpowiedz mi! Nie wiedziałeś o tem?

Cedric. (z ponurą niechęcią). Wiedziałem — naturalnie Czarli zdradził mnie.

Flora. Czarli poprostu powiedział mi tylko to, co i tobie.

Pani Reach Haslam. Jak z tego widzę, wszystko lest jaknajlepiej!

Flora. Cedric i ja, umówiliśmy się, że będziemy rozmawiali ze sobą jak dwaj uczciwi ludzie. Otwarcie. szczerze. I zapewnił mnie kategorycznie, dał mi słowo, że nic nie zaszło, coby mogło wpłynąć na jego postanowienie poza mojemi argumentami. A przecież wiedział doskonale, że dzięki złamaniu nogi przez Klopstocka mógł mi już ustąpić zupełnie wygodnie, bez zadawania gwałtu swojemu przeświadczeniu. Moje argumenty nie wywarły na nim najmniejszego wpływu. Jego zasady w gruncie rzeczy nie zmieniły się ani na jotę. Teraz wie już tylko wybornie, że odnośnie do Klopstocka nie będzie potrzebował lękać się choćby o zakrzywienie włoska swoim zasadom, Ma już głowę swobodną, może się oddawać rozkoszom życia; dotychczas było inaczej. Dla własnego zadowolenia na przeciąg miesiąca gotów jest zatem uczynić ofiarę z teoretycznej strony swoich zasad. To przedziwnie po męsku. A jeszcze jest coś więcej. W tak desperacki i warjacki sposób uwziął się, aby mnie posiąść, że z najzimniejszą krwią dopuścił się szkaradnego i już zupełnie niepotrzebnego kłamstwa. Opowiadał mi, że przez całą noc rozmyślał o moich argumentach, nie śpiąc ani przez chwilę. Przypuszczam, że chciał mnie w ten sposób wzruszyć, czy ująć. Tymczasem jest to fakt stwierdzony, że spał wybornie; przebudziwszy się, poczuł nawet taki apetyt, że zjadł całą kolację Czarlika — zostawiając tylko dwa banany. Nie chcę już wspominać o sposobie w jaki zaakceptował swoje usposobienie dla matki. Ale sądzę, że już powiedziałam dosyć, aby dostarczyć dowodu, że nie po to zeszłam na dół o czwartej zrana, aby rzucić się synowi pani w ramiona. I czy pani może sobie wyobrazić kobietę tak szaloną, żeby mogła zaślubić człowieka, który w dniu ślubu stara się oszukać ją w ten sposób, w jaki Cedric chciał mnie oszukać?

Pani Reach Haslam (majestatycznie). Ojcze, uczyńmy najlepiej, jeżeli stąd odejdziemy. (Zwraca się w sronę domu. Po namyśle odwraca głowę i przez ramię mówi w szorstki sposób do Flory). Nie umiem wypowiedzieć, jak się cieszę, że tym razem zerwanie jest już wreszcie ostateczne.

(Odchodzi i znika w drzwiach domu).

(Cedric zgnębiony, cofa się wgłąb ogrodu i znika z oczu),

Pan Reach Haslam (protestując). Ach, no! (na pół do siebie, patrząc na zegarek). Podniecająca godzina — czwarta zrana!

Flora. Zdaje mi się że zostaliśmy sami we dwoje.

Pan Reach Haslam (wypogodzony). Tak— ale muszę odejść.

Flora. Niech mi pan wybaczy... Jak

pan to robi, że pan jest zawsze tak spokojny i wesoły. Obserwowałam pana w najtrudniejszych sytuacjach...

Pan Reach Haslam. Aa? czy być może?.. Jakby to powiedzieć... Mam swoje życie prywatne, do którego się chronię...

Flora (zainteresowana). Życie prywatne. Gdzie. Nigdy doprawdy nie mogłam...

Pan Reach Haslam (uderzając się w czoło). Tu!

Flora. Rozumiem.

Pan Reach Haslam. O, mam także moje muzea, w których się wybornie bawię.

Flora. Muzea?

Pan Reach Haslam. Muzea prywatnych opinji! (Uderza się w tył głowy). Także tutaj!

Pani Reach Haslam (za sceną). Ojcze!

Pan Reach Haslam (z wesołem skinieniem głowy). Idę, mój skarbie (do Flory). Spodziewam się, że tylko — do widzenia!

(Wychodzi i znika w domu).

(Słychać Cedrika przechadzającego się nerwowo po ogrodzie).

Flora (podchodząc w głąb sceny). Cedricu! Jeżeli mi złorzeczysz w duchu, pozwól niech cię przeproszę...

(Wchodzi Cedric. Oboje patrzą na siebie przez chwilę).

Cedric. Przeproszę?

Flora. Moja ludzka natura poniosła mnie. Nie mogła się oprzeć pokusie spełnienia ostatniego z twoich życzeń. Mówiłeś, że matkę trzeba zgasić — no — i chyba została zgaszona. Na nieszczęście zdaje się, że i ty także. No a teraz chodźmy.

Cedric. Dokąd?

Flora (z niewinną minką). Oczywiście, na dworzec kolei. Przecież o kwandrans na piątą odchodzi do Colchester pociąg — ten sam, którym odchodzą dzienniki.

Cedric (potrząsając głową ze zdumieniem). Niech mnie piorun spali, jeżeli wiem, co się ze mną dzieje...

Flora. A mnie „niech piorun spali", jeżeli ty jeszcze nie jesteś, porządnie rozespany. Czyż nie rozumiesz, jak wspaniały dałeś mi dowód, że patrzysz na małżeństwo tak poważnie, jak tylko tego pragnąć może kobieta — nawet bardziej poważnie, niż kobieta powinna pragnąć. Porzedniego wieczora wahałeś się, czy możesz mi poświęcić swój aeroplan. A dziś zrana opowiadasz mi najohydniejsze kłamstwo, ażeby mnie ująć — choć zachęcałam cię jak mogłam, żebyś mówił prawdę. W najstraszliwszy sposób zaryzykowałeś runięcie w przepaść. Naraziłeś się na niebezpieczeństwo niesnasek i nieszczęścia w przyszłości, ażeby mnie tylko módz pochwycić. Tłuczesz talerze, zachowujesz się poprostu nędznie. Tracisz nawet szacunek dla samego siebie. O — to właśnie mi się podoba! I to właśnie dowodzi, do jakiego stopnia jestem wszystkiem dla ciebie! Twoje uczynki były mocniejsze niż twoje argumenty... Ale wiesz co, Cedricu?

Cedric. Co, najdroższa.

Flora. Muszę przyznać, że proroctwo twojej ukochanej matki było zupełnie trafne. Istotnie już wbrew sobie samej miałam rzucić się w twoje objęcia— ale przecież nie mogłam tego uczynić w jej obecności! No — przyznaj sam — czy mogłam?

(Zabiera filiżankę Thermosa zakręca ją na flaszkę i przewiesza flaszkę przez ramię).

Flora. Odtąd już—razem w drogę?

(Cedric gwałtownie chwyta Florę w objęcia i całuje).

Flora (Uwalniając się z objęć). Ach—jak miło—lubię—jak są szorstcy.

Cedric. Kto?

Flora. Mężczyzna—i jego podbródek!

Cedric (Chwytając za walizkę i patrząc na zegarek). Chodźmy przez ogród... Prawdopodobnie znajdziemy dorożkę. Auto czyni zbyt wiele hałasu — przebudzi matkę. Ona nam tego nigdy nie przebaczy.

Flora (Spokojnie). O, przebaczy! Postaramy się o to wszyscy. (Zatrzymuje się). A moje kufry — i twoje!

Cedric. Zatelegrafuję do Czarlika z Liverpool-Street, żeby nam je przywiózł... Poradzi sobie jakoś! Nie troszczmy się o niego!!

(Zasłona spada)

KONIEC.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska. Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.